



BIBLIOTEKA KSIĄŻEK "NIEPOPRAWNYCH POLITYCZNIE"

JERZY ROBERT NOWAK

**JAK
OSZUKANO
NARÓD**

Wydawnictwo



Opracowanie graficzne Sławomir Lgocki

© Copyright by Jerzy Robert Nowak, Warszawa

Wydawnictwo MaRoN, tel. 0-608 854 215

ISBN 83-915918-2-4

Spis treści

I. Oszustwo „okrągłego stołu”	3
To była inna „Solidarność”	3
„Jakaś cholerna lewica”	7
Kto skorzystał na „okrągłym stole”?	8
Realizacja planu Urbana	9
Gdy szeryf zawierał ugodę z bandytami	10
Zmanipulowana „drużyna Wałęsy”	13
II. Oszustwo „naszego rządu”	14
Naciski Nowaka-Jeziorańskiego	15
III. L. Wałęsa zwodzi swój obóz wyborczy	17
IV. Obiecanki postkomunistów	19
Złamane obietnice Kwaśniewskiego i SLD	19
Nie rozliczone komunistyczne zbrodnie	20
Przemilczane afery „lewicowców”	21
Nie wyjaśnione „sprawy” A. Kwaśniewskiego	24
„Moskiewska pożyczka” M.F. Rakowskiego	26
V. Katastrofalne negocjacje z Unią Europejską	26
VI. AWS-owcy pupile Balcerowicza	31
VII. Buzek i Krzaklewski	35
Marionetkowy premier	35
Krzaklewski, „elastyczny” czy koniunkturalista	38
VIII. Jak przegrywano na życzenie	40
Sfuszerowany „bilans otwarcia”	40
Złamana umowa	43
Zabrakło „polskiego rozumu”	44

Zaprzepaszczanie sprawy mediów	46
Prawica/ którą lubi SLD	50
I po co im eksperci?	51
Partia lustracyjna	53
Jak Unia Wolności wykiwała AWS	55
IX. Długo bito na alarm	56
Kosztowne „jakoś to będzie”	56
Zaprzepaszczona lekcja wyborów prezydenckich	59
Bourboni w AWS.....	60
Zakończenie	62
Nota biograficzna	67

I. Oszustwo "okraglego stolu"

Latem 1990 r. w Gdansk u z luboscia opowiadano nastepujaca anegdote. Do dzialu informacji gdanskiego Zarzadu Regionu zadzwonil jakis Rosjanin i zapytal po rosyjsku: - *Czy to teatr?* - *Nie, to "Solidarnosc"* - uslyszal w odpowiedzi Boze, to juz zagarneliscie wszystko! - jeknal Rosjanin. A bylo akurat odwrotnie. Po prawie roku rzadzów Mazowieckiego stara nomenklatura trzymala sie mocno niemal wszedzie, od wojska i policji po - poprzez PAP i przewazna czesc prasy - banki i obsade kluczowych pozycji w resortach gospodarczych. Powszechnie rozgoryczenie z powodu powolnosc i przemian najlepiej wyrazil tekst powstalej w maju 1990 r. piosenki Jana Kaczmarka *Sulejówek*:

*Sasiedzi nasi rwa do przodu,
jakos to skladniej idzie im,
a my jak zółw, jak paw narodów
wśród maruderów wieziem prym...*

To byla inna "Solidarnosc"

Dlaczego polskie zmiany dekomunizacyjne okazaly sie tak powolne i tak nikle w odróżnieniu od sasiedniej Czechoslowacji, pomimo ze w Polsce przez lata byla bez porównania wieksza niz w Czechach opozycja antykomunistyczna? Pomimo swietnej

tradycji 16 miesięcy "Solidarności" w latach 1980-1981, które wstrzasnęły całym światem komunistycznym. I kolejne pytanie, dlaczego dziś "Solidarność" jako ruch tak mocno przygasła, i dla jakże wielu kojarzy się z czymś wielce nieudanym, zaprzepaszczonym, niefortunnym, spychanym na margines? Jak doszło do takiej kompromitacji "Solidarności" AD 2001?

Aby to zrozumieć trzeba pamiętać o jednym fakcie zasadniczym. "Solidarność" lat 1980-1981 była czymś zupełnie innym niż ruch, na jakim oparł się "nasz rząd" Tadeusza Mazowieckiego w 1989 roku. I czymś zupełnie innym niż ruch, którego przedstawiciele przejęli ster rządu w 1997 roku pod firmą AWS-u.

W sierpniu 1980 r. "Solidarność" była ruchem chrześcijańsko-patriotycznym, którego główną siłę stanowili rozmodleni stoczniowcy w kaskach, strajkujący wśród furkotu biało-czerwonych chorągiewek. Stoczniowcy wiedzieli czego chcą i żadne namowy KOR-owskich doradców nie mogły skłonić ich do miarkowania zadań. Lewicowa opozycja laicka nie mogła zdobyć większego wpływu ani u nich, ani u przeważającej części 10-milionowej "Solidarności" z 1981 roku. Na jej pierwszym zjeździe jesienią 1981 roku wyraźnie dominowały poglądy nurtu patriotycznego, "prawdziwych Polaków" jak zgryźliwie wspominali później ich kosmopolityczni KOR-owscy oponenti spod znaku Michnika, Kuronia, Borusewicz czy Celńskiego.

Ku wzburzeniu całej warszawskiej lewicowej "elitki" jej największy guru - Bronisław Geremek fatalnie przegrał w wyborach na jesiennym zjeździe "S" w 1981 r. Nie zdołał wejść nawet do 100 osobowego składu Krajowej Komisji Solidarności.

Adam Michnik z goryczą wspominał, że nie opublikował ani jednego tekstu na łamach tygodnika "Solidarność" w 1981 roku; nikt mu wówczas nawet nie zaproponował współpracy z tym głównym solidarnościowym periodykiem! W osiem lat później, w 1989 roku, wszystko niebywale się odmieniło. Geremek był głównym rozdającym karty w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym.

Ateista i kosmopolita Michnik był naczelnym redaktorem jedynej solidarnościowej gazety wydawanej w imieniu chrześcijańskich i patriotycznych mas solidarnościowych. Dawna opozycyjna lewica laicka przejęła różne kluczowe pozycje w środowiskach rozpoczynających budowę zębów 111 Rzeczypospolitej i zdominowała tzw. "nasz rząd" Tadeusza Mazowieckiego. Patriotyczne i chrześcijańskie kręgi dawnej opozycji solidarnościowej zostały zmarginalizowane i zepchnięte w cień katolickich sojuszników byłych Korowców (głównie środowisk z "Tygodnika Powszechnego" i "Wiezi").

Jak doszło do tak niebywalej ewolucji? Co umożliwiło przejście przez opozycyjną lewicę laicką rządu dusz w bastionach chrześcijańskiej i patriotycznej "Solidarności" w ciągu osmiu lat rządów Jaruzelskiego? Kluczem do zrozumienia tej szokującej ewolucji trzeba szukać głównie w skutkach represji stanu wojennego i późniejszej wyrafinowanej polityki ludzi Jaruzelskiego, starannie promujących przeróżnymi środkami najbardziej odpowiadające ich interesom środowiska opozycyjne.

Represje stanu wojennego i późniejszych lat rządów jaruzelszczyzny odegrały podstawową rolę w złamaniu kręgosłupa opozycji, wytrzebieniu jej najbardziej odważnych i nonkonformistycznych przedstawicieli. W 1990 roku mówiono o około 100 postaciach "Solidarności" zamordowanych w okresie od grudnia 1981 roku; przypuszczalnie było ich znacznie więcej, choć prawie nic o tym nie wiemy. Tak jak prawie nikt nie pamięta o zamordowaniu już w kwietniu 1983 roku w sfingowanym wypadku samochodowym duchowego przywódcy poznańskiej opozycji w czasie stanu wojennego - ojcu Honoriuszu Kowalczyku.

Mordowanie najbardziej aktywnych ludzi związanych z "Solidarnością" i zmasowane represje lub sankcje materialne wobec wielu tysięcy innych zrobiły swoje. Coraz więcej młodych ludzi, najczęściej tych najbardziej radykalnych i bezkompromisowych emigrowało z Polski. W latach 1981-1989 opuściło Polskę ponad 800 tysięcy osób, głównie z młodych pokoleń. Znalazła się wśród nich blisko czwarta część Polaków z wyższym wykształceniem. W wiciu regionach "Solidarność" została dosłownie ogolona z ludzi najbardziej dynamicznych i najbardziej wykształconych. Szczególnie widoczne było to zwłaszcza na Śląsku.

Ta emigracja setek tysięcy młodych Polaków, nie chcących iść na żaden ukłon wobec reżimu, fatalnie zaciążyła na późniejszym kształcie "Solidarności".

Myszę, że można całkowicie podpisać się pod opinię księdza biskupa Edwarda Frankowskiego oceniającego, iż:

"Gdy po stanie wojennym część najwartościowszych synów Polski musiała wyemigrować z kraju, gdy ich zabrakło, wtedy ekspartyjni, rzekomo "nawróceni", przyszli z pomocą byłej "komunie". Nazwali się liberalami, Europejczykami, ekspertami od przekształcania ustrojowych, jako tacy wcisnęli się na czoło rzekomej prawicy" (bp. E. Frankowski,

"Rekolekcje dla ludzi pracy", Torun 1997, s. 67).

Emigracja setek tysięcy młodych ludzi, szczególnie mocno prześladowanych przez władze za swe nieprzejednanie, ułatwiła stopniowe wzmacnianie wpływów w podziemnej "Solidarności" przez osoby wywodzące się z kregów tzw. opozycji laickiej, przeważnie byłych komunistów (środowiska Geremka, Kuronia, Michnika, dawnego "czerwonego harcerstwa", "internacjonalistów" w "pokoleniu 68" etc.).

W walce o wpływy w podziemiu znaleźli się oni teraz w dużo korzystniejszej sytuacji niż w otwartej rywalizacji na publicznych zebraniach i na zjeździe "Solidarności" w 1981 roku. Teraz nie liczyły się tak mocno argumenty trafiające do serc słuchaczy, lecz nieformalne układy i powiązania, w których od dawna wyspecjalizowali się michnikowcy i ich zwolennicy z "warszawki" i "krakówka". Na dodatek oni mieli najlepsze, wyrobione od dawna, kontakty na Zachodzie.

Dzięki temu błyskawicznie zmonopolizowali dostawy pieniędzy z Zachodu (przede wszystkim dla "Mazowsza, kierowanego przez Bujaka), zmonopolizowali podziemne wydawnictwa związkowe i ich kolportaż. I oczywiście wykorzystali to do odpowiedniego naglasniania "swoich", w czym bardzo pomagała im od dawna zdominowana przez żydowskich "Europejczyków" polska sekcja Radia Wolnej Europy i polska Sekcja BBC (kierowana przez kompana Michnika z marca 1968 r. Aleksandra Smolara).

Peter Schweitzer w książce **Victory** czyli zwycięstwo, Tajna historia świata lat osiemdziesiątych, CIA i "Solidarność" (Warszawa 1994) pisze wiele i szczegółowo o rozmiarach pomocy zachodniej dla solidarnościowego podziemia, i o tym, kto na niej najbardziej skorzystał spośród ludzi podziemia, akcentuje znaczenie w tej pomocy siatki Mossadu w Polsce (por. s. 102-103 wspomnianej książki etc.).

Wpływy "internacjonalistów" z "pokolenia 68" i środowisk post-KOR-owskich w nielegalnej "Solidarności" jeszcze bardziej umocniły się dzięki niedemokratycznemu i nieformalnemu odtwarzaniu nowych władz "Solidarności" w latach 1987-1988 i maksymalnemu zbliżeniu w owym czasie między Walesa a Geremkiem i Michnikiem. Stopniowo dawni KOR-owcy zyskali nigdy przedtem nie posiadane na taką skalę wpływy na różne decyzje nieformalnych władz "Solidarności".

Od połowy lat 80. laicy lewicowi opozycjonisci zaczęli odnawiać zadawnione bardzo szerokie kontakty z komunistycznymi "internacjonalistami" z ekipy Jaruzelskiego i Rakowskiego. Bedac pierwszymi osobami z opozycji dogadującymi się z władzami "internacjonalistami" ze środowisk post-KOR-owskich wraz z pierwszymi przymiarkami do "okrągłego stołu" postarali się o maksymalne zmonopolizowanie dla siebie reprezentacji opozycji.

W odróżnieniu od Węgier, gdzie dialog między władzą a opozycją toczył się przy pełnej reprezentacji różnych nurtów opozycyjnych, w Polsce zatroszczono się o maksymalne zmarginalizowanie przy "okrągłym stole" środowisk chrześcijańsko-patriotycznych. Za to zmarginalizowanie niemalą odpowiedzialność ponosi Lech Walesa, który całkowicie zaakceptował metody doboru "stolowników", stosowane przez grupę Geremka.

Jakże kłamliwie brzmią w tym kontekście uwagi Walesy w jego książce Droga do wolności. 1985-1990.

Decydujące lata (Warszawa 1991, s. 111): Poza okrągłym stołem znaleźli się ludzie z ugrupowań ekstremalnych (ultrakomuniści, nacjonalisci, sekciarze i tym podobni), którzy programowo z nikim nie wchodziły w układy. Ze strony komunistycznej bardzo zatroszczono się o stworzenie "odpowiedniego" klimatu przed rozmowami "okrągłego stołu", pokazanie, co grozi najbardziej nieprzejednanym opozycjonistom.

Na krótko przed obradami "okrągłego stołu" pod koniec stycznia 1989 roku doszło do zamordowania dwóch duchownych bardzo mocno wspierających działalność opozycyjną: **ksieży Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca** (ks. Niedzielak, był kapłan WiN był m.in. twórca Sanktuarium Polaków Poległych na Wschodzie, ks. Suchowolec współdziałał z KPN-em).

W czasie Magdalenki obie grupy lewicowych "stolowników" i rządowa grupa Rakowskiego-Kiszczaka i opozycyjna grupa Geremka-Michnika połączył wspólny strach przed oddaniem podstawowych decyzji w ręce polskiego narodu, posadzanego przez nich o nacjonalizm, szowinizm i klerykalizm. Jarosław Kaczyński pisał nie bez racji: **"Lek przed odrzuceniem całego układu peerelowskiego i przed pokazaniem przez Polaków strasznej twarzy ciemnogrodu, ksenofobii i nacjonalizmu był podstawą myślenia elity "okrągłego stołu", wywodzącej się z opozycji wewnątrz systemowej" (...).**

Wspólny strach sprzyjał tym silniejszemu scementowaniu interesów "Europejczyków" z obu stron.

Początkowo nie wtajemniczony w funkcjonowanie nowej sytuacji partyjnej prominent Stanisław Ciosek nie mógł ukryć swego zaskoczenia siłą kształtującego się żydowskiego lobby, i nawet zwierzył się na ten temat księdzu Alojzemu Orszulikowi w rozmowie z 17 marca 1989 r., komentując przedziwne zbliżenie między ministrem Urbanem a Michnikiem i to, że: **"Zauważa się tworzenie swego lobby żydowskiego, które żywo interesuje się pracami "okrągłego stołu" (...)** (cyt. za P. Raina: Rozmowy z władzami PRL, Arcybiskup Dąbrowski, Warszawa 1995, t. 2, s. 440).

"Jakas cholerna lewica"

Przeważająca część żydowskiego lobby spośród dawnej laickiej opozycji była równie silnie, jak czołowe postaci z kręgów komunistycznych zainteresowana w zastopowaniu autentycznej dekomunizacji i prawdziwego rozliczenia. Z bardzo różnych powodów, by przypomnieć choćby casus Adama Michnika mającego w rodzinie komunistycznego zbrodniarza - Stefana Michnika. Wszystko to prowadziło do coraz lepszej magdalenkowej komitowy liderów tzw. opozycji laickiej z przywódcami PZPR-u. Jarosław Kaczyński wspominając zachowanie Adama Michnika i jego kompanów z lewicowej elity "Solidarności" przy "okrągłym stole" pisał: **Część osób, o których już mówiliśmy, w odrażający sposób fraternizowała się z komunistami: pila mnóstwo wódki, opowiadała tłuste dowcipy, przymilała się i poklepywała.** Nader wymowne pod tym względem są zdjęcia w książce gen. Kiszczaka: *General Kiszczak mówi...* prawie wszystko, zwłaszcza zdjęcie Michnika na rauszu, radośnie wychylającego kolejnego kielicha w towarzystwie Aleksandra Kwasniewskiego et consortes.

Jeden z czołowych liderów lewicy OKP, obecny lider Unii Pracy Ryszard Bugaj powiedział w grudniu 1990 roku podczas dyskusji w Pałacu Staszica: (...) Nie zapomne, jak podczas "okrągłego stołu" minister Wilczek powiedział nam: **"No, panowie, spodziewałem się, że po waszej stronie spotkam ludzi uczciwej prawicy, a tu okazuje się, że to jakas cholerna lewica jest (...)**". W tym tak zaskakującym dla ministra Wilczka zdominowaniu przez lewicę reprezentacji "Solidarności" przy "okrągłym stole" należy szukać klucza do zrozumienia całej późniejszej historii, już wtedy bowiem zaznaczyła się całkowita dominacja "rózowych" (tj. "Europejczyków" z lewicy laickiej), głównie ludzi, którzy tak jak profesor Bronisław Geremek byli przez wiele lat bardzo aktywnymi członkami PZPR.

Kto skorzystał na "okrągłym stole"?

Z perspektywy lat widac tym wyraźniej, że umowy "okrągłego stołu", zapewniające komunistom dużo większy stan posiadania niż wynikało to z układu sił, okazały się bardzo niekorzystne dla opozycji i Narodu, wpłynęły w decydujący sposób na ograniczony, bardzo ulomny charakter późniejszych polskich przemian. Jakże znamienne są w tym względzie wyznania biskupa łowickiego Alojzego Orszulika, który przed dziesięciu laty pośredniczył w negocjacjach prowadzących do "okrągłego stołu": **"To prawda, że w wyniku rozmów przy Okrągłym Stole doszło do przemian ustrojowych, politycznych i gospodarczych. Ale proszę popatrzeć: skorzystali głównie funkcjonariusze partii i aparatu ucisku. Żaden z nich nie poniósł odpowiedzialności za zbrodnie systemu, za prześladowania, ponizanie więźniów i internowanych. Naczelnicy więzień z czasów stanu wojennego nadal zajmują swe stanowiska. Dawni sekretarze chcą dziś nadal być przewodnią siłą narodu"** (cyt. za: Na "okrągłym stole" skorzystali komuniści, Rozmowa z ks. biskupem łowickim Alojzym Orszulikiem, "Nasza Polska" z 10 lutego 1999 r.).

Biskup Orszulik przyznał, że popełniono błąd w ocenie sytuacji, nie wiedząc, że Związek Radziecki (podobnie jak jego państwa satelickie) stoi na "skraju upadku".

Nawet publicysta "Gazety Wyborczej" Dawid Warszawski (Konstanty Gebert) musiał przyznać po latach: **"Przeciwnicy kompromisu (...) mieli rację w jednym kluczowym punkcie. Partia już nie miała klów. Związek Radziecki upadał, pozycja przetargowa drugiej strony była marna. Wystarczyłoby trochę poczekać, a niepodległość, demokracja i władza same by nam wpadły w ręce w ten czy inny sposób (...). Wydarzenia następnych dwóch lat pokazały z całą ostrością, że radykalowie mieli rację. Solidarnościowi okrąglostolowcy, których wizja bezpośredniej przyszłości mieściła się w**

ramach "Finlandii plus" po prostu mylili sie (...) (D. Warszawski Zwyciezca nie bierze wszystkiego, "Gazeta Wyborcza" z 8 lutego 1999 r.).

Tak naprawde, to z umów okraglostotowych szczególnie cieszy sie mógł ówczesny komunistyczny premier Mieczyslaw F. Rakowski, który odnotowywal pare lat później z satysfakcja (w ksiazce jak to sie stalo, Warszawa 1991, s. 209): "Okragly Stół" byl i pozostanie w historii polskiej mysli politycznej oryginalnym dzielem polskiej lewicy (...).

Realizacja planu Urbana

Sposób, w jaki komunistyczne władze przeprowadzily rozmowy "okraglego stolu" i późniejszy kształt rzekomego "naszego rządu" Tadeusza Mazowieckiego byly faktycznym wcieleniem w zycie duzo wczesniejszych pomysłów Jerzego Urbana. Wystapil on z nimi juz 3 stycznia 1981 r. w tajnym liście do ówczesnego I sekretarza KC PZPR Stanisława Kani. W tym bardzo obszernym liście Urban bardzo krytycznie ocenil dotychczasowa taktyke PZPR wobec presji solidarnosciowych mas, jako polityke wleczenia sie w ogonie wydarzen, to ustepowania, to opierania sie i mówienia "nie", zeby jutro znów ustepowac. Krytykowal również postawe tych ludzi z władz, którzy ustępują, godza sie oddawac krok po kroku władze. Zdaniem Urbana, sama władza powinna przeprowadzic spektakularna operacje polityczna w wielkim stylu, urzadzając w Polsce odgórnie "przełom". Polegalby on na wciagnieciu solidarnosciowej opozycji do udziału we władzy, powołaniu koalicyjnego rządu. To z kolei ulatwiloby stopniowe rozmycie i osłabienie opozycji.

Jak pisal Urban: Wyobrazam to sobie jako stworzenie koalicyjnego rządu z minimalna wiekszoscia PZPR-owców i to najbardziej strawnych dla społeczeństwa, a z udziałem reprezentatywnych katolików i umiarkowanych ludzi z kregu "Solidarnosci" (...) trzeba urzadzic w Polsce przełom (...). **Istota przełomu byloby oczywiście powołanie koalicyjnego rządu (...).** Jestem człowiekiem skrajnie niechętnym katolikom, ich programowi, wyobrazeniem -mentalności, ale - co wygląda na paradoks - w rządach koalicyjnych widze najlepsza szanse odrodzenia znaczenia i sily PZPR, oczywiście PZPR bardzo zmodyfikowanej programowo i pod wzgledem stylu działania. **W tej chwili PZPR dzwiga cala odpowiedzialnosc rządowa, a inne sily, stojace na zewnatrz, krytykuja i naciskaja swobodnie a nieodpowiedzialnie. Rząd koalicyjny sprawi, ze czesc tych sil, zbierając poklask z tytułu swej opozycyjnej pozycji, zacznie współodpowiadac, wiec zbierac ciegę od społeczeństwa (...).** **Upadnie wiec wyobrazenie, ze ci inni z ugrupowan katolickich, z "Solidarnosci" sa lepsi. Pogorszy sie ich pozycja wobec społeczeństwa (...)** (cyt. za tekstem listu Urbana do Kani drukowanym w podziemnym czasopiśmie "Most", nr 18 z 1988 r., a później przedrukowanym w paryskiej "Kulturze", nr 501 z 1989 r. i "Polityce" z 22 lipca 1989 r.).

Sarn Urban odegral zreszta bardzo duza role w zakulisowych rozmowach w Magdalence, które prowadzono bardzo konsekwentnie i systematycznie wbrew klamliwym zaprzeczeniom Tadeusza Mazowieckiego. Wtedy doszlo do goraczkowego odnowienia starej przyjazni Michnika i Urbana, o której wspominal Jacek Kuron w ksiazce "Wiara i wina". Ponowna magdalenkowa fratemizacja Michnika i Urbana stala sie okazją do ich potajemnych rozmów prowadzonych w dniach "okraglego stolu" w gabinetach Urzedu Rady Ministrów. Jan Skórzynski w ksiazce "Uгода i rewolucja" (Warszawa 1955, s. 227-228) pisal, ze **poufny i owocny dialog** Urbana i Michnika byl wyraznie uzgadniany przez Urbana z gen. Jaruzelskim (Urban robil notatki z rozmów z Michnikiem i przedstawial propozycje Michnika, wysuwane w imieniu opozycyjnych "stolownikow", na biezaco konsultując wszystko z gen. Jaruzelskim i wysuwając ze swej strony odpowiednie propozycje w imieniu władzy).

Szeroki ogół Polaków oczywiście nie miał zielonego pojecia o tego typu dogadywaniach sie i "torowaniach drogi dialogu".

Gdy szeryf zawieral ugame z bandytami

Dzis coraz wyrazniej widac, do jakiego stopnia ciche porozumienia "okraglostolowe" w Magdalence byly zaprzeczeniem idealów "Solidarnosci", o które tak dlugo i z takim poswieceniem walczono od sierpnia 1980 roku. W czasie wyborów 1989 roku w Polsce bardzo popularny byl plakat pokazujący "Solidarnosc" w roli szeryfa, który przychodzi "w samo poludnie", by zrobic

porządek z szalejącym bezprawiem.

Narodowi obiecywano solennie zaprowadzenie sprawiedliwości w Polsce i Naród w to uwierzył. Szybko okazało się, jak bardzo złą dlań była to wiara. Nader celnie podsumował te iluzje publicysta Leszek Bedkowski na łamach tygodnika "Spotkanie" z 23 października 1991 r. pisząc, że: **"Opozycja i związek widziały siebie jako tego szeryfa, który w samo południe kroczy środkiem ulicy, On w imieniu wszystkich i dla wszystkich robi w miasteczku porządek. Ale szeryf nie zamierzał brać całej władzy w swoje ręce. Przy Okrągłym Stole zawarł kompromis z banda, która dotychczas okupowała miasteczko."**

Fakty wskazują na zupełną nierównowagę "kompromisu" zawartego między rządzącą partią komunistyczną a opozycją przy "okrągłym stole". Jacek Kuron, jeden z przywódców lewicowej opozycji, użył przy "okrągłym stole" formuły "wojna się skończyła". Partyjno-rządowi uczestnicy obrad natychmiast ochoczo mu przyklasnęli, w duchu myśląc: **Tak, wojna się skończyła, ale my zostajemy z łupami.**

Wezwanie do przebaczenia uraz, do "nie oglądania się wstecz" były w gruncie rzeczy dogodniejsze dla strony komunistycznej, która zainicjowała wojnę z "Solidarnością" i przy której została większość wojennych zdobyczy.

Przypomnę, że kompromis "okrągłego stołu" doprowadził wprawdzie do ponownej legalizacji "Solidarności", ale za cenę dostosowania jej statutu do uchwał władz komunistycznych narzuconych w stanie wojennym.

Nie oddano mienia zabranego "Solidarności".

Nie odzyskano też mienia rozwiązanych przez władze stowarzyszeń twórczych ani Niezależnego Związku Studenckiego.

Publicysta Stefan Bratkowski w audycji dla Radia Wolna Europa z 21 listopada 1991 roku wykpiwał "utyskiwania" na brak załatwienia przy "okrągłym stole" takich spraw, jak zwrot mienia zagrabionego środowiskom twórczym. By lepiej uzasadnić rzekoma absurdalność tego typu zadań posłużył się następującą anegdotą. Opowiedział, jak to ojciec dziecka zadzwonił do człowieka, który uratował je przed utonięciem: *Pan uratował moje dziecko, A gdzie berecik?*

Anegdota rzeczywiście bardzo piękna, tylko jako porównanie chybiona. Przy "okrągłym stole" opozycja nie miała do czynienia z przypadkowym uczciwym i szlachetnym przechodniem, który z całym poświęceniem uratował dziecko - "Solidarnosc" z topieli. Miała do czynienia z istic przebiegłym lisem, który najpierw to dziecko skrupulatnie obrobił z szatek, a potem rzucił do wody, by utonęło. Az do momentu, gdy naciskany z różnych stron, ociągając się ruszył, by wyciągnąć swoją ofiarę z wody.

A poza tym w 1989 roku utonięciu bardziej groziło partyjnej stronie "okrągłego stołu" niż "Solidarności".

Przypomnijmy, że PRL w 1989 roku przeżywała prawdziwą katastrofę gospodarczą, która zmuszała władze do rozpaczliwego szukania porozumienia z opozycją. Bardzo wymownie ilustruje to historia opowiedziana przez Jacka Kuronia. Przytoczył on rozmowę z kierownikiem Wydziału Organizacyjnego KC PZPR Andrzejem Gdula w dzień po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Gdula podszedł do Kuronia, wyraźnie rozradowany, dosłownie cały w skowronkach! powiedział: **Przed chwilą dziennikarze francuscy pytali mnie, dlaczego jestem taki wesóły, kiedy właśnie oddaliśmy władzę. To ja im mówię - powiada Gdula - dlatego, że wiem, w jakim stanie im ten cały interes zostawiamy.**

"Okrągłostolowe" porozumienia miały wielorakie negatywne skutki dla Polski. Uniemożliwiły przeprowadzenie rozliczenia ze zbrodniami komunizmu, lustrację i dekomunizację, inaugurując politykę "grubej kreski". Tworząc klimat wybaczenia dla komunistycznych zbrodniarzy, porozumienia w Magdalence zadaly cios poczuciu moralnemu milionów Polaków.

Jakże słusznie piętnował "hanbiacy kompromisu" "okrągłostolowy" o. Józef Maria Bochenski stwierdzając: (...) **Odnosi się nawet wrażenie, że znaczna część starszej inteligencji dotknięta jest zarazą ugodowości i brakiem pionu moralnego. To właśnie tacy ludzie objeli władzę w Polsce** (...) (por. "Tygodnik Solidarnosc" z 25 października 1991 r.).

Nader fatalne okazały się dla Polski także inne skutki porozumień "okrągłostolowych" i ich konsekwentnego przestrzegania

przez ludzi z dawnej opozycji w radykalnie zmienionej sytuacji. Myślę tu przede wszystkim o utrzymaniu przez komunistów dominującej pozycji w gospodarce i w mediach, które stopniowo stały się pierwszą władzą w Polsce. Polityk brytyjski Joseph Chamberlain mówił niegdyś w kontekście carskiej Rosji: jesc obiad razem z diabłem można tylko wtedy, kiedy ma się długa łyżka. Na pewno nie można tego powiedzieć o polskiej lewicy opozycyjnej, która zasiadła do "okrągłego stołu" z komunistami zupełnie nieprzygotowana do rozmów, zwłaszcza gospodarczych. Przyznawał to Stefan Bratkowski na łamach "Życia Gospodarczego" z 1 sierpnia 1989 roku, pisząc: **Przez cztery lata grupa ekonomistów, doradców "Solidarności" (...) nie przygotowała programu gospodarczego opozycji. (...) W efekcie do Okrągłego Stołu nasi ekonomiści zasiedli bez programu, w ostatniej chwili pisząc na kolanach jakieś postulaty.**

W rezultacie tego zupełnego nieprzygotowania opozycji umożliwiono bezkarne przejęcie przez partyjną nomenklaturę wielkiej części majątku narodowego na rzecz różnego typu spółek nomenklatury owych. Banki były nadal zdominowane przez komunistycznych aparatczyków, na czele z byłym członkiem Biura Politycznego PZPR Władysławem Baka, przez kilka lat po zmianach 1989 roku pełniącym kluczową funkcję prezesa Narodowego Banku Polskiego. Ta dominująca pozycja w bankach zatłwiała komunistom odpowiednio "kredytowanie" swoich przedsiębiorców i firm nomenklatury owych.

Zmanipulowana "drużyna Walesy"

Bardzo ważnym krokiem na drodze do zdominowania opozycji przez "Europejczyków" z tzw. lewicy laickiej było sformowanie odpowiedniego składu wyborczego "drużyny" Lecha Walesy. W tej sprawie od początku zderzyły się dwie koncepcje. Grupa na czele z Geremekiem i Michnikiem opowiadała się za jedną listą, dobraną głównie w oparciu o działaczy "Solidarności" wchodzących do Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Walesie, w którym wówczas wiodli prym ludzie z dawnej KOR-owskiej lewicy. Rzecznicy drugiej koncepcji postulowali uzupełnienie listy o przedstawicieli innych ugrupowań opozycyjnych, głównie opcji centrowej i prawicowej.

Chodziło tu m.in. o Chrzescijańską Demokrację z Władysławem Silą-Nowickim, prof. Ryszardem Benderem i Wiesławem Chrzczanowskim, środowisko "Głosu" Macierewicza, gdański Ruch Młodej Polski, krakowskie Towarzystwo Przemysłowe, Klub "Dziękuję". Ostatecznie zwyciężyła koncepcja grupy doradców L. Walesy z lewicy laickiej (Geremek, Michnik, Kuron, Wujec). Przeważała idea pójścia do wyborów głównie w oparciu o siły opozycji zdominowane przez dawnych KOR-owców, kosztem rzeczywistej reprezentacji szerokiej gamy nurtów opozycji.

Powołana przez Komitet Obywatelski komisja ustalająca listę kandydatów do "drużyny Walesy" odegrała rolę superweryfikatora w stosunku do decyzji lokalnych komitetów obywatelskich. Pierwsze skrzypce ponownie grał tu Bronisław Geremek i inni "europejczycy", energicznie pousuwano z list lokalnych niewygodnych dla "europejczyków" kandydatów, nawet choćby byli popierani przez lokalne komitety obywatelskie.

Największemu zdziśiatkowaniu, na skutek nacisków centralnego "superweryfikatora", uległa reprezentacja chrześcijańskiej demokracji. Odrzucono między innymi kandydatury takich osób, jak Władysław Sila-Nowicki, prof. Ryszard Bender czy Janusz Zabłocki. Miejsce odrzuczonych przedstawicieli prawicy i centro-prawicy zajmowali na ogół ludzie o poglądach zdecydowanie lewicowych.

Jak wspominał później Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla "Tygodnika Polskiego": **Lech Walesa w rzeczywistości tylko podpisywał propozycje Geremka (...), dominującym jednak kryterium była lewicowa przeszłość.**

Lewicowa "selekcja do drużyny Walesy" uniemożliwiła wejście do parlamentu wielu doświadczonych opozycyjnych polityków, którzy mogliby wzbogacić obrady prawdziwie niezależnymi opiniami. Zamiast nich weszło do Sejmu niemal wyłącznie postaci bezbarwne, nie mające żadnych poglądów. Część z nich nigdy po wyborze nie "splamiała się" wystąpieniem parlamentarnym, zachowując dostojne milczenie (vide np. aktor - senator Andrzej Szczepkowski).

Tym łatwiej za to można było nimi odgórnie manipulować w imię dominującego klanu "europejczyków".

II. Oszustwo "naszego rządu"

Katastrofa wyborcza komunistów w dniu 4 czerwca 1989 r. mogła stać się podstawą do radykalnego przyspieszenia zmian na rzecz zdemokratyzowania kraju. Tak jak to następowało już wówczas na Węgrzech, gdzie 18 czerwca 1989 r. dokonano uroczystego pogrzebu zwłok Imre Nagya, najsłynniejszej ofiary kadarowskiego terroru i ustalono plan przeprowadzenia całkowicie wolnych wyborów. U nas przywódcy opozycji, na czele z Lechem Walesa, usprawiedliwiali się przed przywódcami PZPR ze swego zbyt wielkiego zwycięstwa, a zwłaszcza wyciecia w wyborach oficjalnej listy krajowej. Walesa uspokajał partyjno-rządowych partnerów w tej sprawie, mówiąc: **Panowie, jest nam przykro, my będziemy się teraz starac to naprawić.**

Władze solidarnościowego Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego bez wahania zgodziły się na wsparcie komunistycznych władz po fiasku listy krajowej. Za ich milczącą aprobatą komunistyczne władze mogły wprowadzić lamiaca prawo nowelizacji ordynacji wyborczej, co dało stronie rządzącej dodatkowych 33 posłów.

Kolejnym, skrajnym wręcz ustępstwem wobec komunistów było uratowanie przez kierownictwo OKP w Sejmie kandydatury gen. Jaruzelskiego na prezydenta w sytuacji, gdy część posłów z SD i ZLS odmówiło głosowania na te kandydature. Dzięki odpowiednim zabiegom (wstrzymaniem się od głosu czy nawet głosami za kilkunastu posłów z OKP) pomnożono w przepchnięciu kandydatury realizatora stanu wojennego dosłownie jednym głosem czy raczej połowa głosu.

Geremkowskie kierownictwo OKP konsekwentnie stawiało na dogadywanie się z Jaruzelskim i Rakowskim, którzy tak długo prowadzili wojnę z Narodem, zamiast porozumienia się z prawdziwymi reformatorami partyjnymi typu odsuniętego już w 1982 r. Tadeusza Fiszbacha. Dochodziło do zachowań przypominających najbardziej absurdalną, ponurą groteskę. Bo jak inaczej wytłumaczyć zachowanie lewicowego kierownictwa OKP, które dobrowolnie wyrzekło się szansę wsparcia rozłamu w PZPR - ze, pomimo pełnego buty i manipulacji postępowania ówczesnego I sekretarza KC Lej partii Mieczysława F. Rakowskiego.

Z "Gazety Wyborczej" z 23 sierpnia 1989 r. dowiadujemy się, że około 20 posłów z PZPR postanowiło wystąpić z klubu i stworzyć własny klub niezależny. I wtedy nastąpiła rzecz wprost niebywała w swym absurdzie. Lewicowe kierownictwo OKP zamiast cieszyć się z wystąpienia tej grupy reformatorskich posłów partyjnych, która osłabiła siłę dotychczasowej partyjnej PZPR-owskiej władzy, wsparło wysiłki dla spacyfikowania buntowników.

Jak odnotowano w "Gazecie Wyborczej": **W nocy ze srody na czwartek odszczepienców zaczęli namawiać do zmiany decyzji niektórzy posłowie z OKP. Nowa koalicja ZSL, SD, OKP jest jeszcze krucha mówiono - i może to naruszyć cały układ.**

Przypomnijmy, że w innych krajach -na Węgrzech, w Czechach, NRD opozycjoniści wspierali wszystko, co prowadziło do rozłamów w partiach komunistycznych, widząc w tym, co rozumiałe, tym większą szansę dla opozycji i narodu jako takiego. W Polsce Bronisław Geremek jeszcze jesienią 1989 roku występował z oświadczeniami wzmocniającymi i podtrzymującymi PZPR (!). W wywiadzie dla "Rzeczpospolitej" z 28-29 października 1989 r.

Geremek stwierdził wprost: Bez względu na to, w jakiej sytuacji znajdzie się partia, "Solidarność" nie zamierza wstępować w konflikt z nią. Solidarność jest zainteresowana tym, by PZPR nie zniknęła z areny politycznej. Nader wymowny był sposób, w jaki Geremek komentował fakt, że ogromna część wszystkich stanowisk kierowniczych, prawie milion tych stanowisk piastowali ludzie z PZPR-u.

Odpowiadając na pytanie redaktorki z "Tygodnika Kulturalnego", czy te stanowiska mają nadal pozostać w rekach PZPR - **Geremek stwierdził: Czystek nie powinno być, bo to jest praktyka starego systemu, natomiast musi być stosowane kryterium kompetencji. Sadzę, że w ramach tego miliona stanowisk ogromna część (podkr. - J.R.N.) stanowią ludzie kompetentni, którzy potrafią działać skutecznie, a reszta musi przestać sprawować swoje funkcje.**

Co prawda to prawda, ogromna część tych ludzi działała rzeczywiście "skutecznie", doprowadzając Polskę w 1989 roku do prawdziwej katastrofy gospodarczej.

Naciski Nowaka-Jezioranskiego

Lewica OKP na czele z Geremkiem, Michnikiem i Kuroniem wyraźnie sterowała latem 1989 r. do utworzenia koalicyjnego rządu z komunistami, przewodzonego przez Geremka. Plany te utraciło ostatecznie tylko wystąpienie Walesy na rzecz koalicji "Solidarnosci" z ZSL i SD i podjęcie przez Jarosława Kaczyńskiego rozmów z przedstawicielami tych dwóch partii. Wywołało to gwałtowne protesty całej lewicy OKP-owskiej.

16 sierpnia 1989 r. na posiedzeniu OKP Michnik wystąpił z prawdziwą jeremiadą ostrzegającą przed skutkami pominięcia PZPR przy tworzeniu nowego rządu, wołając do Walesy: **ja sie boje, Lechu, ze partia zepchnieta do opozycji dostanie nagle kopyta i ruszy do przodu. I dlatego ja chce sie ciebie spytac,.. czy ty Lechu widzisz taki pomysl, zeby tych partyjnych tak samo w to wlaczyc jakos... (...).**

Presje OKP-owskiej lewicy poskutkowaly, tym bardziej ze zyskala ona wsparcie wysuniętego przez "Solidarnosc" na premiera Tadeusza Mazowieckiego. Ten czolowy przedstawiciel lewicy katolickiej byl juz "wslawiony" rozlicznymi przystosowaniami do wladzy w przeszlosci (m.in. brutalnym atakiem na sadzonego przez stalinowskie wladze biskupa Kaczmarka w 1953 r.).

Teraz zdecydowanie oswiadczył, ze optuje za rządem z udziałem PZPR, bo nie uda sie rzadzic bez PZPR-u.

Malo sie dzis pamietaja, jak fatalna rola w całej sprawie odegral wówczas również Jan Nowak-Jezioranski, wspierajac i to z "bardzo" bliska, "nie" z oddali, opcje popierajaca przyznanie PZPR-owi kluczowych pozycji w rządzie. Niegdyś odważny "kurier z Warszawy", teraz działal jako "kurier z Waszyngtonu", reprezentujacy kola amerykanske, stawiajace na dogadanie sie z komunistami. W tym duchu byly one zreszta nakierunkowane przez ówczesnego ambasadora amerykanskego w Warszawie Daviesa, starannie indoktrynowanego przez ludzi z geremkowskiej opozycji, jego glównych polskich "doradców". I tak zamykalo sie kolo.

7 wrzesnia 1989 roku Nowak-Jezioranski wystapil na lamach "Gazety Wyborczej" z niemal zapomnianym dzis, a jakze niebywale szkodliwym w owym czasie wywiadem, zalecal w nim wszystkim kierujacym polska polityka, by bez reszty podporzadkowali sie wszystkim ograniczajacym polska suwerennosc uzależnieniom od ZSRR.

Nowak-Jezioranski akcentowal tam m.in.: Moim zdaniem nieprzekraczalna granica jest przynaloznosc Polski do Układu Warszawskiego, uszanowanie na terenie Polski interesów radzieckiego bezpieczenstwa, jak zachowania baz i zapewnienia praw tranzytowych oraz utrzymania kontroli przez partie. Rosjanie moga sie zgodzic na rządy opozycji, ale nie pogodziliby sie z calkowita utrata przez partie kontroli nad tym, co sie w Polsce dzieje (...) Mysle o wojsku, o sprawach wewnetrznych i o urzedzie prezydenta, który moze przeciez rozwiacz parlament i zdymisjonowac rząd. Gdyby Jaruzelski nie zostal wybrany prezydentem, w moim przekonaniu Rosjanie interweniowaliby wczesniej czy pózniej. Dopóki to minimum jest spelnione i dopóki rząd panuje nad sytuacja spoleczne nic wiecej Rosjan nie obchodzi. Gdyby jednak doszlo do ostatecznosc nic nie powstrzymaloby ich przed interwencja.

To straszenie Polaków interwencja rosyjska przez Nowaka-Jezioranskicgo bylo tym bardziej absurdalne w sytuacji, gdy ZSRR przezywal coraz ciezszy kryzys gospodarczy, a zarazem wciaz placil ogromne kos/ty uwiklania w Afganistanie.

Utworzony we wrzesniu "1989 r. rzekomo "nasz rząd" na czele z Tadeuszem Mazowieckim, byl faktycznie rządem zdominowanym przez bylych i aktualnych członków PZPR. Nalezacy wciaz do PZPR prominenci partyjni mieli w swoich rekach tak kluczowe resorty jak spraw wewnetrznych, MON, wspólpacy gospodarczej z zagranica czy lacznosci, wspierane przez prezydenture gen. W. Jaruzelskiego.

Poza kierowaniem tymi czterema tak waznymi resortami komunisti wyraźnie zdominowali również stanowiska sekretarzy i podsekretarzy stanu w innych resortach. Wedlug danych ze stycznia 1990 r. do PZPR nalezalo 44 sekretarzy i podsekretarzy stanu, do PSL "Odrodzenie" 8, do SD - 3, przy 31 bezpartyjnych.

W MON i w MSW zarówno minister, jak i wszyscy trzej wiceministrowie nalezeli do PZPR.

W Urzedzie Rady Ministrów, obok kierujacego resortem bezpartyjnego Jacka Ambroziaka, byl sekretarz stanu z PZPR i

czterech komunistycznych sekretarzy stanu, obok czterech bezpartyjnych podsekretarzy (zob. szerzej uwagi na temat oszustwa "naszego rządu" T. Mazowieckiego w wydanej w 2000 r. mojej książce "Spory wokół historii i współczesności". Planuje również podjęcie szerszej analizy historii tamtych lat w tomiku "Stracone lata 1989-1991").

III. Lech Walesa zwodzi swój obóz wyborczy

Niewiele osób głoszących w grudniu 1990 r. na Lecha Walesę, gromko obiecującego radykalne przyspieszenie zmian w Polsce po rządach spiącego "zółwia" T. Mazowieckiego, mogło przypuszczać jak niewiele w gruncie rzeczy się zmieni po wyborach prezydenckich.

Nawet w najgorszych snach nie wyobrażano sobie, że obdarzany tak wielkim zaufaniem obozu chrześcijańsko-patriotycznego [prezydent Walesa](#) już w zaledwie rok po swym triumfie wyborczym będzie [zapewniał](#) (5 grudnia 1991 r.) na spotkaniu z klubem parlamentarnym Sojuszu Lewicy Demokratycznej: **jesli bedzie trzeba, lewica bedzie prezydentem, wiceprezydentem. Walesa jest z wami! Musimy dzialac, aby nie popelniac bledow.**

Czyli głosił: *Prezydent nie może siedzieć grzecznie, bo mu wytną lewicę.*

Redaktor naczelny krakowskich "Arcanów" Andrzej Nowak wspominał w "Tygodniku Solidarność" (nr 47 z 1995 r.), jak prezydent Walesa błyskawicznie zawiódł zaufanie swoich wyborców z 1990 r.: **Powszechnie wiadomo było, że wyborcy oczekują natychmiastowego rozwiązania sejmu kontraktowego i budowania silnego obozu politycznego. Tymczasem dwa tygodnie po wyborach prezydent oświadczył, że nie rozwiąże parlamentu. Że będzie prezydentem wszystkich Polaków- w takim sensie, że będzie bronił lewicy ograniczonej przez ten wybór, że będzie odbudowywał siłę lewej nogi.**

Dziennikarz "Gazety Wyborczej" Lesław Maleszka w tekście "Pochwała oszustwa" (nr z 18 września 1997 r.) chwalił Walesę za to, że dosłownie nic nie zostało po jego zwycięstwie wyborczym z obietnic składanych w czasie kampanii wyborczej 1990 r. Jak pisał Maleszka: **Nic nie wyszło z obiecanych stu milionów (...) Walesa nie rozpetał też żadnej fali czystek personalnych. Przeciwnie -bronił stabilności kadr oficerskich w wojsku, a w starciu z rządem Olszewskiego otwarcie zmanifestował wrogość do radykalnych pomysłów dekomunizacyjnych i lustracyjnych. (...) Walesa poparł Balcerowicza przeciw własnym ekspertom.**

Dla ogromnej części głoszących w wyborach prezydenckich na Walesę obalenie rządu Mazowieckiego oznaczało również natychmiastowe odejście Balcerowicza, którego miała szczerze dość przeważająca część narodu. Zostawiając Balcerowicza w rządzie na niezmienną decydującą pozycję, Walesa oszukał ogromną część tych, którzy go poparli w wyborach. Dobrze znający Walesę Donald Tusk, niegdyś wiceprzewodniczący Unii Wolności, twierdził na łamach "Tygodnika Powszechnego" z 23 października 1994 r., że Walesa świadomie zmylił wyborców co do swojej intencji wobec Balcerowicza w sytuacji, gdy niechęć do Mazowieckiego wynikała z niechęci do reform Balcerowicza. Walesa wyczuwał ten problem i wygrał wybory przeciwko teamowi Mazowiecki-Balcerowicz po to, by tegoż Balcerowicza utrzymać. To był przemyślny plan.

IV. Obiecanki postkomunistów

Złamane obietnice Kwasniewskiego i SLD

W czasie rządów lewicowej koalicji 1993-1997 społeczeństwo już raz mogło się przekonać, ile wartości mają rozliczne szumne obietnice przywódców postkomunistycznych. Ton nadawały pod tym względem sławetne obietnice prezydenta-postkomunisty

Aleksandra Kwasniewskiego, który w czasie kampanii prezydenckiej tak hojnie obiecywał mieszkania dla wszystkich młodych Polaków, jak wiadomo, z realizacji obietnic niewiele wyszło, bo stan budownictwa pod koniec rządów lewicowej koalicji był nadal fatalnie żalony. Warto przypomnieć również najgłośniejsze hasło kampanii prezydenckiej A. Kwasniewskiego "Wybermy przyszłość". Hasło pięknie brzmiące, tylko nie dodające, w jak wielkim stopniu ta piękna przyszłość ma być budowana przy ogromnych kosztach spłat długów odziedziczonych po komunistycznej przeszłości, czy "leczenia" różnych patologicznych struktur w przemyśle i rolnictwie, odziedziczonych po komunistycznych rządach.

"Gazeta Polska" dokonała 10 listopada 1994 r. interesującego przeglądu jak wyglądały "zmiany" w Polsce już po pierwszym roku rządu lewicowej koalicji. Przypomniano jak to A. Kwasniewski obiecywał, iż będzie się dążyć do szczególnie pilnego "bardziej sprawiedliwego" niż dotychczas rozłożenia w społeczeństwie kosztów reformy rynkowej. Okazało się zaś, że już w pierwszym roku rządów lewicowej koalicji - w grudniu 1993 r. zwiększono podatek placony przez najuboższych z 20 do 21 %. Nowy rząd lewicowy od razu na wstępie obiecywał wzrost realnych wynagrodzeń w sferze budżetowej. Tymczasem po roku relacja płac w sferze budżetowej w porównaniu do płac w sferze materialnej znacząco pogorszyła się. Obiecywano reformowanie oświaty, a tymczasem przez cały okres rządów koalicji lewicowej nie podjęto żadnych istotniejszych kroków dla realizacji tego celu. Podobnie nie spełniono obietnic zreformowania systemu finansowania opieki zdrowotnej.

A. Kwasniewski szumnie zapowiadał: *Obca nam jest doktryna podziału łupów między wyborczymi zwycięzcami, którzy obdzielają swoich ludzi możliwie największą liczbą stanowisk partyjnych.*

Praktyka dowiodła dokładnie czegoś wręcz przeciwnego. Wymieniono większość wojewodów i kuratorów oświaty, przeprowadzono czystki w rozlicznych ministerstwach i bankach. Podejmowano setki decyzji odpowiedniego "premiowania" swoich zasłużonych towarzyszy - vide awansowania zbankrutowanego Ireneusza Sekuły na stanowisko szefa Głównego Urzędu Cel, gdzie podjął zresztą fatalne z punktu widzenia skarbu państwa decyzje. Przykłady można by długo mnożyć.

Nie rozliczone komunistyczne zbrodnie

Grubokreskowej polityce rządów Mazowieckiego i Suchockiej, a niestety także i żalony, mało zdecydowanej polityce rządu Buzka w tej sprawie, "zawdzięczamy" nie wyjaśnienie do końca odpowiedzialności konkretnych komunistycznych zbrodniarzy za krwawe stłumienie powstania robotniczego w Poznaniu, za masakrę robotników Wybrzeża w 1970 r. (jako skandalicznie przeciągany proces gen. W. Jaruzelskiego i jego towarzyszy), represje 1976 r. czy tak liczne przestępstwa inspiratorów i wykonawców stanu wojennego.

Jak z gorzka mówił podczas uroczystości 3 Maja 1999 r. **ks. Biskup Kazimierz Rycan: *Nie ma spadkobierców PZPR, nie ma kolaborantów, nie ma winnych za śmierć robotników Poznania, Gdanska, kopalni "Wujek". Sa tylko chorzy dawni promieni, którzy uratowali kraj dzięki stanowi wojennemu. Etos Solidarnosci zostal na papierze i tasmach magnetofonowych. Trwa zas walka o kosc wladzy.***

Nie wykryto również i nie ukarano jakże wielu "**Nieznanych Sprawców**" późniejszych mordów za rządów Jaruzelskiego, od zniesienia stanu wojennego po rok 1989 r.

Dosć przypomnieć choćby fakt niewykrycia prawdziwych inicjatorów (**na "górze"**) mordu na **ks. J. Popieluszcze** czy sprawców mordów na **ksiezbach Niedzielaku, Suchowolcu i Zychu** w 1989 r., nie ukaranie sprawców mordu na **Grzegorz Przemysku**.

Ta bezkarnosc "**Nieznanych Sprawców**" doprowadziła do kolejnych, jakże licznych, zabójstw w okresie po 1989 r., czasami upozorowanych na tragiczne wypadki (jak śmierć prezesa NIK-u **W. Panko**). Niewyjaśnione pozostały rozliczne wypadki śmierci byłych prominentów komunistycznych, na czele z byłym premierem **P. Jaroszewiczem** (który podobno pisał bardzo niewygodne dla swych wielu byłych towarzyszy pamiętniki), **śmierć generalów Fonkowicza, Dubickiego** etc.

Nigdy nie wykryto faktycznych sprawców zabójstwa rzeczownika ursuskiej "Solidarnosci" **Krzepkowskiego** ani faktycznej

przyczyny śmierci nieugiętego tropiciela afery FOZZ **Falzmanna**.

Krzysztof Kakolewski pisał w książce "Generalowie gina w czasie pokoju" (Warszawa 2000, s. 188) o tym, jak to w jakimś dziwnym wypadku samochodowym zginął polski konsul w Chicago, który niebezpiecznie przybliżył się do spraw kredytów zaciągniętych przez PRL, a zatem i do kwestii FOZZ.

Przebywający w Ameryce korespondent polskiej prasy **Jacek Kalabinski** zmarł w kwiecie wieku, gdy naruszył milczenie o handlu bronią.

Jednym z najbardziej skandalicznych zjawisk czasów obecnych jest fakt że rozliczni byli stalinowscy prokuratorzy i sędziowie, winni skazania na śmierć jakże wielu polskich patriotów w sfabrykowanych procesach dotąd otrzymują wielomilionowe emerytury sięgające niekiedy aż 4500 złotych (45 milionów starych złotych)/ podczas gdy weterani walk o niepodległą Polskę nie raz wegetują za 500-600 zł emerytury.

Za rządów AWS rozpoczęto wprawdzie odbieranie tych uprzywilejowanych emerytur byłym stalinowskim mordercom sądowym ale dotknęło to niestety tylko niewielkiego procentu spośród paru tysięcy byłych stalinowskich sędziów i prokuratorów.

Czy w ogóle można było mówić o prawdziwym rozliczeniu, jeśli nawet w otoczeniu prezydenta RP A. Kwasniewskiego znalazło się całe grono byłych esbeków?

Dobrze poinformowany w tej sprawie [tygodnik "Wprost" organ byłego sekretarza KC PZPR Marka Króla](#), ujawnił 13 sierpnia 2000 r., że w otoczeniu prezydenta RP (w Kancelarii Prezydenta lub w podległym prezydentowi Biurze Bezpieczeństwa Narodowego) znajduje się wiele dość szczególnych "asów atutowych" - byłych wysokich oficerów służb specjalnych PRL. Chodziło tu m.in. o takie osoby jak płk Waldemar Mroziewicz, który świadczył w obronie prezydenta (wg A. Macierewicza, Mroziewicz został zwolniony w 1992 r. z pracy pod zarzutem "wybiórczego niszczenia akt"), Marek Dukaczewski z dawnych Wojskowych Służb Informacyjnych podsekretarz stanu w BBN i pracujący w Kancelarii Prezydenta.

Przemilczane afery "lewicowców"

"Dziwnym trafem" przez całe dziesięciolecie lat 90 nie zdobyto się na rozliczenie żadnej z wielkich afer spowodowanych przez wpływowych aferzystów wywodzących się z dawnych kregów komunistycznych. Szczególnie typowy pod tym względem był przykład działań w sprawie największej i najkosztowniejszej dla kraju afery po 1989 r. - FOZZ-u (Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego).

Przypomnijmy, że głównymi sprawcami tej afery byli finansisci wywodzący się z komunistycznego aparatu gospodarczego, a [wina za brak kontroli nad FOZZ-em ponosił przede wszystkim minister finansów Leszek Balcerowicz](#).

Wśród nadzorców FOZZ-u byli m.in. tacy ludzie, jak późniejszy minister w rządzie SLD-PSL [Dariusz Rosati](#).

Afere FOZZ-u wykryto na początku lat 90. Okazało się, że Polska straciła [co najmniej ok. 100 mln dolarów](#) (wg "Polityki" z 23 grudnia 2000 r.). Przypomnijmy, że o całej operacji wykupu zadłużenia, która nas tyle kosztowała, wiedziało tylko bardzo wąskie grono najwyższych urzędników w ostatnim komunistycznym rządzie Mieczysława F. Rakowskiego (por. tekst Violetty Krasnowskiej: "Nietykalni", "Wprost" z 22 października 2000 r.). Wśród oskarżonych za brak nadzoru nad FOZZ-em jest były wiceminister finansów w rządzie Rakowskiego, później zastępca Balcerowicza - Janusz S. Dziwnym trafem dotąd nie zakończono rozliczenia tej gigantycznej afery i mnożą się teksty (choćby wspomnianej Krasnowskiej) głoszące, że w końcu nikt nie poniesie odpowiedzialności za nią.

Przypomnijmy, że zrobiono ogromnie wiele dla zablokowania odkrycia faktów demaskujących sprawców tej ogromnej afery, kompromitującej ludzi lewicy. Najpierw w tajemniczych okolicznościach doszło do "zawalu serca" najbardziej zasłużonego w odkryciu afery Michała Falzmanna, pracownika izby skarbowej, delegowanego przez NIK do kontroli FOZZ-u, a następnie od niej odsuniętego. Później doszło do jeszcze bardziej tajemniczej śmierci/ w "wypadku samochodowym" prezesa NIK-u

Waleriana Panko na kilka dni przed jego wystąpieniem w Sejmie, w którym miał odsłonić kulisy afery FOZZ.

Jak przypominano w "Polityce" z 23 grudnia 2000 r., do dzisiaj nie wyjaśniono do końca okoliczności tej kraksy. Wdowa po prezesie Panko niejednokrotnie akcentowała, że śmierć jej męża nie nastąpiła wcale na skutek "wypadku".

Mówiła o śladach prochu znalezionych w bagażniku samochodu. Z kolei we "Wprost" z 19 listopada 2000 r. przypomniano, że auto, którym jechał Panko, rozpadło się na dwie części. Wkrótce po wypadku policyjna agentura doniosła, że w półświatku mówiono o zamrożeniu części ramy samochodu służbowego Panki ciekłym azotem. Warto przypomnieć, jaki był tytuł ostatniego wywiadu z prezesem Panko na kilka dni przed jego tajemniczym zgonem: **Za dużo wiem.**

Dotąd nie ujawniono do końca całej prawdy o jakże licznych podejrzanym interesach Ireneusza Sekuły, niegdys jakże wpływowego członka ostatniego komunistycznego rządu M.F. Rakowskiego (był tam wicepremierem i przewodniczącym Komisji Ekonomicznej Rady Ministrów). Później od początku we władzach SdRP, członek Rady Naczelnej tej partii, poseł postkomunistów do Sejmu, z ich poręki prezes Głównego Urzędu Cel w 1995 r. W tekście "Sekula i inni" ("Nowe Państwo" z 17 listopada 2000 r.) Dorota Kania pisała m.in.: **Wiadomo, że Ireneusz Sekula był dobrym znajomym nie tylko czołowych działaczy SLD. Znal się blisko z Bogusławem Bagsikiem, byłym szefem spółki ART-B, znalazł mającego związki z gangsterami przedsiębiorcę Wiesława Peciaka, pseudonim "Wicek" (...).**

Z danych operacyjnych policji wynika, że Sekula poznał kolegów z SLD ze swoimi przyjaciółmi z gangu pruszkowskiego. Dotąd nie wyjaśniono czy Sekula popełnił samobójstwo, czy ktoś "pomógł" w jego śmierci. Złośliwi powtarzali w tym kontekście uwagę., że była to już druga próba samobójcza Sekuły. Za pierwszą nie zastano go w domu! "Życie" z 7 września 2001 r. podało nieoficjalną informację ze śledztwa w sprawie śmierci Sekuły głoszącą, że przed śmiercią Sekule odwiedzili go partnerzy od interesów, powiązani z gangiem pruszkowskim. Niektórzy tłumaczyli nagły zgon Sekuły jego brakiem pieniędzy na natychmiastową spłatę długu miliona dolarów który podobno zaciągnął u gangstera Pershinga (jego następcy nie chcieli długo czekać na spłatę). Dotąd nie wyjaśniono w pełni rozmiarów nadużyć popełnionych przez Sekułę, m.in. umysłnej niegospodarności, gdy stał na czele Głównego Urzędu Cel.

Przypomnijmy, że SLD-owcy w Sejmie uniemożliwili w 1995 r. uchynienie Sekule immunitetu poselskiego, choć w tej sprawie wystąpił w 1995 r. jego kolega partyjny Włodzimierz Cimoszewicz, ówczesny prokurator generalny.

Z wielkim opóźnieniem w maju 2001 r. doszło do aresztowania związanego z kregami lewicy i podejrzanego o popełnienie wielu przestępstw gospodarczych byłego senatora Aleksandra Gawronika. Ten był współpracownik SB początek swej wielkiej "kariery" biznesmena zawdzięczał przekazaniu mu przez wicepremiera Sekule odpowiednio wcześniej informacji o legalizacji handlu walutami, co umożliwiło mu błyskawicznie wystawienie sieci 300 kantorów na zachodniej granicy.

W kontekście świeżo aresztowanego G. Wieczerzaka, przypomina się, że ten od pewnego czasu wyraźnie zabiegał o względy polityków SLD mimo swych powiązań z SKL-em. Ciekawe, że pierwszym ważnym stanowiskiem Wieczerzaka była posada doradcy osławionego żydowskiego hochsztaplera Dawida Bogatina, prezesa Pierwszego Banku Komercyjnego w Lublinie (Bogatin, oszust, ścigany przez Amerykanów listem gończym, został wydany przez Polskę USA).

Warto przypomnieć, że prezesem warszawskiej filii spółki kierowanej przez Bogatina był późniejszy minister przekształcania własnościowych z ramienia SLD Wiesław Kaczmarek (dowiedziałem się o tym z lektury marksistowskiego "Dzisiaj", redagowanego przez M.F. Rakowskiego).

Ciekawe, że praca na wpływowym stanowisku w firmie kierowanej przez międzynarodowego hochsztaplera Bogatina nie przeszkodziła w późniejszym awansie "czerwonego liberala" W. Kaczmarka na kierownictwo tak atrakcyjnego resortu, jak ministerstwo przekształcania własnościowych.

W kontekście niebywałego rozrostu przestępczości w III Rzeczypospolitej warto wskazać na tropy w tej sprawie sięgające do czasów starego systemu komunistycznego. Znamienne pod tym względem były uwagi drukowane nie w żadnym periodyku prawniczym, lecz w postkomunistycznym "Wprost", redagowanym przez byłego sekretarza KC PZPR Marka Króla.

Otóż właśnie w tym tygodniku (nr z 19 listopada 2000 r.) opublikowano tekst autorstwa Stanisława Janeckiego i Violetty Krasnowskiej akcentujący, że: **Zalazki struktur polskiej mafii pojawiły się już pod koniec istnienia PRL. To wtedy tysiące pracowników milicji, SB i MSW postanowiło wykorzystać swoje układy do robienia interesów. (...) - Prawie 80%**

znanych przywódców polskiego podziemia było informatorami bądź tajnymi współpracownikami SB, WSW i milicji ~ mówi były zastępca szefa Zarządu Sledczego UOP.

Nie wyjaśnione "sprawy" Aleksandra Kwasniewskiego

Nigdy nie wyjaśniono do końca sprawy zarzutów pod adresem Aleksandra Kwasniewskiego z czasów, gdy stał na czele Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej.

Szczególnie mocno były one naglaszane w swoim czasie w "Gazecie Polskiej". Miedzy innymi w tekście Tomasza Sakiewicza "Skwitowanie Kwasniewskiego" (nr z 28 czerwca 2000 r.) pisano: **Przez kilka ostatnich miesięcy analizowaliśmy dokumenty świadczące o łamaniu prawa w Komitecie ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej w czasie, gdy kierował nim Aleksander Kwasniewski. Wynika, z nich, że w wielu wypadkach osobista odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponosi obecny prezydent. Jako szef Komitetu naraził skarb państwa na ogromne straty finansowe, (...)**

Według naszych wyliczeń zdecydowana większość pieniędzy pożyczonych z Komitetu ds. Młodzieży nigdy nie wróciła do skarbu państwa. Czy Kwasniewski popełnił przestępstwo? Nie mieli co do tego wątpliwości inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli. W piśmie do prokuratury z 12 marca 1992 r. NIK zawiadomił o wynikach swojej kontroli. Zdaniem inspektorów w czasach Kwasniewskiego w Komitecie łamano prawo (...).

Prokuratura nie zbadała osobistej odpowiedzialności Aleksandra Kwasniewskiego (...). Najbardziej bulwersujący jest fakt udzielenia niskoprocentowanych pożyczek założycielom Polisy, której akcje miała żona Aleksandra Kwasniewskiego. Sprawa wypływu pieniędzy z Komitetu po raz pierwszy zainteresowano się po tym, jak ujawniono fakt znacznej pożyczki dla nomenklaturowej firmy Interster, która była nieodłącznie kojarzona z PRL-owskim, a następnie SLD-owskim dygnitarzem Ireneuszem Sekulą. Sekula nie opowie nic o historii tej pożyczki. Kilka tygodni po rozpoczęciu przez nas publikacji na temat "kantów" popełnił samobójstwo.

Niedługo po zawetowaniu przez prezydenta Kwasniewskiego ustawy uwłaszczeniowej "Zycie" z 13 września 2000 r. w tekście "Dom nie dla wszystkich" pióra Doroty Sajnug, skomentowała wspomniana dzień wcześniej w telewizji kontrowersje wokół tego, jak się "uwłaszczył" za bezcen prezydent Aleksander Kwasniewski 10 lat temu.

W tekście pt. "Dom nie dla wszystkich" Sajnug pisała o konferencji zwołanej przez sztab Mariana Krzaklewskiego na osiedlu, na którym w 1990 r. Kwasniewski kupił 78-metrowe mieszkanie za ok. 12 mln zł (tj. 10 ówczesnych średnich pensji).

Według Walendziaka, stanowiło to tylko 5% prawdziwej wartości rynkowej mieszkania.

To proste stwierdzenie faktu przez Walendziaka wywołało wybuch oburzenia rzecznika sztabu Kwasniewskiego, byłego naczelnego "Trybuny" Dariusza Szymczychy. Nazwał Walendziaka "chuliganem politycznym". Dodatkowego posmaku całej sprawie nadaje okazana przy tym obłuda Kwasniewskiego. Jak pisano w tym samym numerze "Zycia" z 13 września, gdy Kwasniewski wetował ustawę uwłaszczeniową, **"mówił, że mieszkanie wykupił za ciężkie pieniądze"** (według "Rzeczpospolitej" z 13 września: **W poniedziałek Kwasniewski powiedział, że swoje mieszkanie w Wilanowie wykupił "płacić niemal kwotę"**).

D. Sajnug pisała w "Zyciu", że Walendziak zarzucił Kwasniewskiemu mówienie nieprawdy co do kupionego przez niego za bezcen mieszkania. Zdaniem Walendziaka, wetując ustawę uwłaszczeniową, prezydent występuje przeciwko ludziom, którzy całe życie ciężko pracowali na majątek narodowy. -Te mieszkania nie byłyby prezentem. Według "Rzeczpospolitej" z 14 września, rzecznik sztabu Mariana Krzaklewskiego - Kajus Augustyniak powtórzył w Radiu Plus za Walendziakiem, że Kwasniewski, kupując w 1990 r. mieszkanie za bardzo niewielki procent wartości, uwłaszczył siebie.

- Dzisiaj, wetując ustawę uwłaszczeniową, odmówił tego prawa innym ludziom. W tym samym numerze "Rzeczpospolitej" przytoczono również wypowiedź Mariana Krzaklewskiego: **Na razie byliśmy tylko świadkami selektywnego uwłaszczenia, w którym główną rolę odegrała komunistyczna nomenklatura.**

Według "Zycia" (z 13 września): **Prezydent zapłacił po 159 tys. 172 stare złote za m2.**

Podobne mieszkania kupowano po 4-6 mln zł za m2.

Na tym samym osiedlu, po tej samej cenie co Kwasniewski, mieszkania kupili panstwo Pudyszowie (85 m2), Oleksowie (113 m2), Millerowie (86 m2) i Sekulowie (84 m2).

Klamstwo Kwasniewskiego o "ciężkich pieniądzach", jakie zapłacił za swoje mieszkanie dowodzi, że Prezydent RP jakos nie może za nic się wyzwolić ze starego nawyku "prawdomównosci inaczej".

Cóż, miliony Polaków wegetuje, ale mają za to wielce zapobiegliwego prezydenta.

"Moskiewska pożyczka" M.F. Rakowskiego

Jedną z najważniejszych nigdy nie rozliczonych afer postkomunistów była sprawa osławionej "moskiewskiej pożyczki", załatwionej, wbrew polskiemu prawu, przez byłego komunistycznego premiera Mieczysława F. Rakowskiego.

Całą sprawę umorzono i przyschła.

Znamienne, jak tłumaczył po latach te afery w wywiadzie dla tygodnika "Der Spiegel" przywódca postkomunistów Leszek Miller.

Odpowiadając na uwagę redaktora "Der Spiegel": **Ten transfer pieniędzy był kontrowersyjny i załatwiał ciemnymi interesami,**

Miller odpowiedział: Sekretarz generalny PZPR, Mieczysław Rakowski, pożyczył wówczas od Michaila Gorbaczowa milion dolarów. Pieniądze te miały służyć pokryciu zobowiązań finansowych PZPR. Rosyjscy dyplomaci przywieźli pieniądze w aktówkach do Warszawy, Rakowski po jakimś czasie zwrócił dług tym samym sposobem. (...) To wszystko było zapewne błędem. Ale dług został spłacony, dochodzenie w tej sprawie dawno umorzono. To były niespokojne czasy (cyt. za wywiadem L. Millera dla "Der Spiegel" z 3 września 2001 r., przedrukowanym w "Forum" z 16 września 2001 r.).

V. Katastrofalne negocjacje z Unią Europejską

Po wyborach 1997 r. zdawało się, że AWS maksymalnie wykorzysta przyznany mu w wyborach mandat zaufania dla dokonania autentycznego przełomu. AWS zdobył kilkakrotnie więcej głosów niż Unia Wolności, która straciła w wyborach 1997 r. kilkaset tysięcy głosów w porównaniu do liczby głosów oddanych na nią w 1993 r. Od początku rysowała się konieczność stworzenia możliwie jak najszerszej koalicji z udziałem PSU UW i ROP-u jako jedynej możliwości skutecznego przewycięzenia ewentualnych weta prezydenckich.

Jak pisał później Jarosław Kaczyński (w "Gazecie Polskiej" z 12 sierpnia 1998 r.): **Do sprawnego rządzenia państwem kwestia strategiczna, był stosunek do PSL Razem z PSL, Unia Wolności, ROP-em i oczywiście AWS koalicja rządowa miałaby ponad 60 proc. głosów. To wystarczyłoby dla uchylecia kontroli Kwasniewskiego nad procesami legislacyjnymi.**

Także w wystąpieniach polityków AWS pojawiał się postulat niezbędności wejścia PSL do koalicji rządowej jako głównej szansy na przełamywanie prezydenckiego weta.

Mówił o tym m.in. Wiesław Walendziak w wywiadzie dla "Życia" z 6 października 1997 r., uznając za "śmieszny" opór UW przeciw PSL-owi. I przypominając, że ta sama Unia bez zenady współpracowała z PSL przy uchwalaniu konstytucji czy obalaniu władz telewizji publicznej. Jak zwykle także i w tej sprawie zwyciężyło jednak pełne poddanie się naciskom UW, która

nie chciała, by do jej koalicji rządowej z AWS weszła jakakolwiek inna partia.

Trudno znaleźć uzasadnienie, dlaczego władze AWS bardzo szybko zrezygnowały z pomysłu alternatywnej koalicji AWS-ROP-PSL, zdając się na wyczerpujące i jak się później okazało przeprowadzone w wręcz katastrofalny sposób negocjacje z Unią Wolności. Głównym argumentem przeciwników koalicji z ROP-em i PSL było twierdzenie, że tego typu koalicja będzie miała zbyt nikłą większość w Sejmie i stąd będą jej ciągle zagrożać różne zawirowania. Tylko że jak się okazało później, wybrana tak nieopatrnie, bez szukania prób alternatywy, koalicja tylko z UW przeżywała wciąż różne wstrząsy i kryzysy, głównie na skutek skrajnej nielojalności Unii. A co najważniejsze właśnie ta koalicja spowodowała zaprzepaszczenie przeważającej części programu wyborczego AWS i skompromitowanie AWS realizacją rzeczy totalnie sprzecznych z tym programem, a zwłaszcza gospodarczej polityki Balcerowicza.

Dodajmy, że z perspektywy strategicznych kosztów politycznych i społecznych, jakie przyniosła dla AWS koalicja z Unią Wolności widac, że dużo lepiej opłaciłoby się podjęcie właśnie wtedy, jesienią 1997 r., zupełnie odmiennego rozwiązania. A mianowicie zaryzykowanie - w przypadku maksymalnego upierania się UW przy swoich wygórowanych postulatach koalicyjnych - zerwania rozmów i podjęcia decyzji o działaniach dla doprowadzenia do szybkich ponownych wyborów. Dałyby one wówczas AWS niechybnie jeszcze większą przewagę i poparcie dużej części środowisk ROP-owskich. Pamiętajmy jednak, że na rzecz decyzji o koalicji z UW za wszelką cenę działała po cichu już wówczas w AWS-ie "dyskretna", "zwarta" i zrezygnująca grupa "uciekierów" z UW na czele z Aleksandrem Hallem i Janem Maria Rokita.

Prawda jest jednak i to, że szybkiego/ jak najszybszego dogadania się z UW i przejęcia władzy/ chciało zbyt wiele osób w obozie AWS, od wyposzczonych na niskich pensjach związkowców po od lat czekających na swoją szansę różnych "prawicowych" polityków, nie mających poza politykowaniem żadnego zawodu. Uważali, że trafia się im wreszcie taka gratka/ której za nic nie można przepuścić, bo inaczej Kwasniewski poprzez utworzenie rządu mniejszościowego, bez AWS.

TKM (*Teraz k.... My*) - powiedział o mentalności tych ludzi Jarosław Kaczyński.

A potem już mieliśmy, co mieliśmy.

Rzeczy niektórych AWS-owskich karierowiczów dosadnie scharakteryzował kiedyś świetny specjalista od zarządzania z Kanady prof. Witold Kieżun: -Taki związkowiec zarabiał dotąd ze 2 czy 2 i pół tysiąca zł. Nagle trafia mu się wysoka urzędnicza fucha, może decydować o nadspodziewanie wielu sprawach.

I już po paru dniach zjawia się u niego biznesmen i daje do zrozumienia: wystarczy jeden mały podpis i już będzie dobrze urządzony do końca życia. I tak rodziło się to, co świetnie skwitował kolejnym celnym skrótem Jarosław Kaczyński - KPP (*Kompromitacja Prawicy Polskiej*).

Wszystko to budziło uśmiechy politowania lub skrajne rozgoryczenie u prawdziwie ideowych ludzi prawicy i wielu ludzi ze starej, autentycznej "Solidarności" lat 1980-1981. Jakże liczni z nich wycofywali się oburzeni na margines życia publicznego.

Wśród czynników, które ułatwiły tak korzystne dla Unii Wolności wyniki negocjacji koalicyjnych z AWS, swoistą rolę odegrały otwarte i zakulisowe pronijne działania Lecha Walesy. Jak pisał Marek Krukowski na łamach "Nowego Państwa" z 10 października 1997 r.: Na Unię Wolności "grali" Lech Walesa i część wchodzących w skład Akcji ugrupowań.

Byłby prezydent, aby "przyspieszyć" rozwój wypadków, straszył rozłamek w AW "S" i możliwością stworzenia przez UW rządu mniejszościowego za cichym przyzwoleniem SLD.

Co motywowało byłego prezydenta Walesę w jego działaniach pronijnych? Niektórzy twierdzą/ że głównie konieczność rewanżu wobec polityków UW za ich wsparcie w uzyskiwaniu kolejnych świetnie płatnych wykładów na różnych amerykańskich uczelniach (bez poparcia mających najlepsze kontakty w USA polityków UW Walesa miałby o wiele mniejsze szanse na uzyskanie tych wykładów). Inna sprawa, że czasami te wykłady, niezbyt dobrze przygotowane przez byłego prezydenta miały dla niego skutek raczej dość kompromitujący (i dla Polski). Opowiadano mi, że niektóre wykłady zostały zarejestrowane na kasetach przez niezbyt przychylnych Polakom Żydów, a potem pokazywane w środowiskach żydowskich jako dowód mierności Polaków jako narodu. No bo, jeśli nawet ich byłby prezydent występuje z wykładami o tak niskim poziomie intelektualnym, to cóż

można wymagać od Polaków jako ogółu...

W rezultacie tych różnorodnych nacisków, a także samobójczej wrecz z punktu widzenia AWS postawy głównego negocjatora Janusza Tomaszewskiego, UW dysponująca kilkakrotnie mniejsza niż AWS ilością głosów w Sejmie, była faktycznym triumfem negocjacji.

Uzyskała dla Balcerowicza stanowisko wicepremiera i resort finansów, zapewniający decydującą pozycję w polityce gospodarczej oraz tak kluczowe resorty, jak sprawiedliwości, MSZ i MON. Polityk AWS-ZChN Marian Pilka ujawnił dość szczególne zachowanie się Tomaszewskiego u progu tworzenia rządu Buzka: **W przeddzień negocjacji AWS ustalili zakres spraw do dyskusji z UW, w tym listę stanowisk, jakie może otrzymać Unia. Tomaszewski powiedział o tym podziale UW i w ten sposób, moim zdaniem, spalił od razu negocjacje. Wtedy nabrałem już przekonania, że nie jest to żaden polityk i doprowadzi AWS do klęski** (wg "Życia" z 9 marca 2001 r.).

Znamienne jest to, co po latach wyznał na temat fatalnych dla AWS negocjacji z Unią Wolności jeden z uczestników tych negocjacji Paweł Łączkowski (w latach 1992-1993 wicepremier RP): **AWS prowadziła rozmowy negocjacyjne nieudolnie i ze złą tezą. Pozwoliliśmy Unii objąć wszystkie ministerstwa, które nie były obciążone kosztami reform. Kierując nimi można było uzyskać pozytywną ocenę i przychylną społeczność. Natomiast AWS w jakimś dziwnym i masochistycznym zacięciu wybierała resorty, które musiały wywoływać konflikty i napięcia społeczne np. ministerstwo pracy. W dodatku oddawaliśmy Unii -jako partnerowi słabszemu, który do koalicji wносił tylko 1/3 udziałów - o wiele za dużo pozycji w tej koalicji. Z niektórych ministerstw zrezygnowaliśmy z przyczyn, które były dla mnie do pewnego momentu niezrozumiałe. Dlatego w pewnym momencie wycofałem się z tych rozmów. Powiem tylko, że w czasie przygotowań do kolejnej tury rozmów z Unią jasno stwierdziliśmy, że MON-u nie oddamy Unii. Jednak w czasie spotkania z jej przedstawicielami okazało się, że jest to pierwsze ministerstwo wystawione rui "przetarg" (...)** (cyt. za P. Baczek: "Błąd przy narodzinach", "Głos" z 28 lipca 2001 r.).

W ocenie Pawła Łączkowskiego główną przyczyną tylu ustępstw w negocjacjach AWS z Unią Wolności było ich podporządkowanie sprawie późniejszych wyborów prezydenckich: **Oddawaliśmy Unii tak wiele i tak łatwo, ponieważ kierowano się perspektywą uzyskania poparcia Unii dla naszego kandydata w wyborach prezydenckich. Dzisiaj można powiedzieć, że miał to być Marian Krzaklewski** (cyt. za "Głos" z 28 lipca 2001 r.).

Zdumiewający był fakt, że w czasie negocjacji AWS zdecydowała się na oddanie Unii Wolności kilku dodatkowych ministerstw w zamian za stanowisko Marszałka Sejmu i głównie prestiżowe stanowisko Marszałka Senatu.

Komentujący po latach przebieg negocjacji koalicyjnych AWS i UW redaktor naczelny "Głosu" Piotr Baczek zwracał uwagę na jaskrawie rzucający się jeden rys ówczesnych negocjacji - to, że Unia nieustannie wysuwała coraz nowe i dalej idące zadania: rozmowy koalicyjne tylko z UW; rząd bez udziału innych partii; premier Krzaklewski i jeden wicepremier, którym miał być Balcerowicz; oddanie Unii finansów państwa; odstąpienie od kandydatury prof. Wiszniewskiego na premiera rządu (w tym przypadku jako fakty "kompromitujące" podawano kontakty profesora z Kornelem Morawieckim); wspólne obsadzenie stanowisk wojewodów; MSZ dla Geremka; MON dla Onyszkiewicza; ministerstwo sprawiedliwości dla Suchockiej itd. (P. Baczek: "Błąd...", op.cit.).

AWS uległ Unii Wolności także w jakże ważnej sprawie reformy administracyjnej kraju, wprowadzając wbrew swym pierwotnym założeniom jakże kosztowny podział kraju na powiaty.

To że podział ten faktycznie przeforsowała Unia Wolności ujawnił w wywiadzie na łamach "Rzeczpospolitej" z 26 marca 2001 r. były przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego w 1990 r., a aktualnie członek Rady Krajowej AWS Mieczysław Gil, stwierdzając: **Złe się też stało, że Akcja nie powiedziała jasno społeczeństwu, z jakich elementów programu musiała się wycofać, wchodzić w koalicję. Była na przykład za dwustopniowym samorządem, ale na zadanie UW zgodziła się wprowadzić powiaty, bo Unia chciała obsadzić trochę urzędów na niższym szczeblu, gdzie dotąd była słabsza. Dla UW to była słuszną kalkulacją, ale państwu przyniosło to szkody. Z powodzeniem wystarczyłaby silna gmina i województwo.**

Ustępstwa AWS wobec Unii Wolności miały bardzo duży zakres, rzadko dostrzegany w całej rozciągłości. Przypomnijmy tu choćby uwagi jednej z najbardziej kompetentnych radnych warszawskich Julii Pitery o rozmiarach ustępstw AWS wobec UW na terenie stolicy: **W nowej umowie koalicyjnej AWS oddała Unii Wolności wszystko, co decyduje o rozwoju miasta. Na przykład politykę gruntami mają prowadzić ci sami urzędnicy, którzy byli podejrzewani w ostatnich latach o różne nieprawidłowości. Nie może być tak, że na wszystkich czterech szczeblach samorządu geodezja, nadzór budowlany, gospodarka nieruchomościami pozostają w rekach jednej partii** (cyt. za wywiadem J. Filery w "Nowy Państwie" z 17 marca 2000 r.).

VI. AWS-owcy pupile Balcerowicza

Faktyczna dominacja Unii Wolności w rządzie z formalnie AWS-owska większość ułatwiał fakt, że szereg AWS-owskich ministerstw w bardzo wielu sprawach szło maksymalnie na rękę Unii Wolności i było wręcz pupilami Balcerowicza. Dość typowe pod tym względem było zachowanie nieszczęsnego negocjatora koalicji z UW wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych Janusza Tomaszewskiego. Nieprzypadkowo "nagrodzony" tytułem "Dyzmy 99" Tomaszewski dobrze zdawał sobie sprawę ze swego absolutnego nieprzygotowania do funkcji ministra spraw wewnętrznych (jako absolwent technikum samochodowego). Tym chętniej więc starał się we wszystkim przypodobać czołowym przedstawicielom koalicjanta w rządzie, aby uniknąć z ich strony jakichkolwiek złośliwych "recenzji" kierowanego przez niego resortu.

Był fatalnym ministrem spraw wewnętrznych. Faktycznie nie zrobił niczego dla zapewnienia skutecznej walki z przestępczością zorganizowaną. Jego przeciwnicy, tacy jak w. Walendziak zarzucali Tomaszewskiemu, że koncentrował się wyłącznie na budowaniu zaplecza finansowego dla polityki. W publikowanym w "Gazecie Polskiej" z 25 kwietnia 2001 r. szeroko udokumentowanym tekście "Swiata Tomaszewskiego" pisano o nader rozbudowanych dobrych stosunkach Tomaszewskiego z prominentnymi politykami ugrupowań ideowo odległych od AWS. Do dziś może liczyć na sympatie np. Władysława Frasyniuka (z UW - J.R.N.) i łódzkiego polityka Unii Wolności, Mirosława Drzewieckiego. Głośno mówi się o jego wieloletniej znajomości z właścicielem telewizji "Polsat" Zygmuntem Solorzem, którego Tomaszewski kilka lat temu na rocznicowym bankiecie telewizji nazwał "swoim prezesem. f...") Ta koligacja ze względu zarówno na cały życiorys Solorza, jak i skrajnie komercyjny, daleki od wartości chrześcijańskich i patriotycznych profil "Polsatu" jest szczególnie wymowna.

Janusz Tomaszewski stał się szczególnie jaskrawym "prawicowym" symbolem tzw. kapitalizmu politycznego, to jest nadużywania działalności politycznej do robienia interesów gospodarczych. Pierwsi zaczęli to stosować na masową skalę postkomuniści na czele z osławionym Sekulą, wykorzystując swą uprzywilejowaną pozycję dzięki rozlicznym "spółkom nomenklaturowym". Wiesław Walendziak nazwał "kapitalizm polityczny" "największą porażką III RP", wskazując na to, że: Z biegiem czasu postkomunistyczny układ gospodarczy za cenę swoistej legitymizacji zaczął wspierać polityków różnych opcji i środowisk, infekując całą strukturę państwa (z wywiadu W. Walendziaka dla "Tygodnika Powszechnego" z 28 lutego 1999 r.). Tak doszło do tego, że w rozlicznych radach nadzorczych politycy AWS w idealnej symbiozie współdziałali, politykami SLD i UW w myśl zasady "żyć i dać żyć innym".

Powszechnie uważano, że po stronie prawicy szczególnie "zasługi" dla tworzenia takiego kapitalizmu politycznego miał właśnie Janusz Tomaszewski. Poseł AWS Mariusz Kamiński mówił w wywiadzie dla "Gazety Polskiej" z 25 kwietnia 2001 r. o Tomaszewskim: Ten człowiek przy pomocy nieformalnych nacisków budował imperium dla siebie i swoich przyjaciół. Wielu ludzi związanych z tzw. spółdzielnią i członków ich rodzin zasiadło w radach nadzorczych.

Na przykład brat Andrzeja Anusza został prezesem Rady Nadzorczej Ruchu, choć z wykształcenia jest weterynarzem. Pierwszą aferą polityczno-gospodarczą naszego rządu była sprawa króla żelatyny Grabka i wprowadzenie całkowitego zakazu importu żelatyny pod pretekstem choroby wściekłych krów. Znane są stenogramy rządu, wiemy, kto ten zakaz przeforsował.

To był Tomaszewski. Do tego dochodzi kwestia Tadeusza Kowalczyka, byłego posła BBWR i członka Komitetu Doradczego przy MSW. Kowalczyk był od dawna podejrzewany o kontakty ze światem przestępczym. Dzisiaj w prasie można przeczytać, że pełnił nieoficjalnie funkcje rezydenta mafii pruszkowskiej w świecie polityki. Tomaszewski bardzo zabiegał, by go umieścić na wysokiej pozycji na liście AWS. Przez Kowalczyka z AWS odszedł Jarosław Kaczyński. Kowalczyk nie wystartował w wyborach,

bo zginął w wypadku samochodowym tuż przed oddaniem list do rejestracji. Bardzo bliskim znajomym pana Kowalczyka był również poseł Anusz. To obrazuje, z jakiego typu zagrożeniami mieliśmy i mamy do czynienia w AWS.

Znamienna była decydująca rola Tomaszewskiego w przepchnięciu kandydatury Jacka Debskiego na ministra skarbu, mimo różnorodnych ostrzeżeń co do nieciekawych epizodów z jego przeszłości. By przy-pomnieć choćby to, o czym wspominał Wiesław Walendziak: (...) **z Debskim działaliśmy w Ruchu Młodej Polski. Z Ruchu go wyrzuciliśmy, stawiając poważne zarzuty m.in., że dążył do rozbijania opozycji i skłócania jej z emigracyjnymi ośrodkami** (...) (z wywiadu W. Walendziaka dla "Gazety Wyborczej" z 29 lutego 2000 r.)-

Ciągle niewyjaśniony do końca pozostaje zarzut współpracy Tomaszewskiego z SB. Jak wiadomo, bardzo silnym argumentem przeciwko Tomaszewskiemu były obciążające zeznania dwóch byłych esbeków, które niespodziewanie zostały potem zmienione. Jeden z esbeków nagle złożył oświadczenie- napisane zresztą przez żonę - że do częstych spotkań z przyszłym wicepremierem zmuszał go jego przełożony. Przedstawił też zaświadczenie, że cierpi na zaburzenia neurologiczne. Natomiast drugi z oficerów SB wprost stwierdził, że kłamał (wg tekstu P. Siennickiego w "Nowym Państwie" z 2 marca 2001 r.).

Tomaszewskiemu w rządzie towarzyszyło szereg innych prounijnych ministrów, których Balcerowicz maksymalnie wspierał za ich usługowość - w monetach zagrożeń, tym mocniej tępiąc zachowujących niezależną postawę wobec UW ministrów AWS typu J. Kropiwnickiego, Kapery i R. Czarneckiego (dwóch ostatnich zmuszono zresztą do rezygnacji pod naciskiem UW). Takim ministrem szczególnie bronionym i popieranym przez Balcerowicza, mimo powszechnych krytyk, był minister skarbu Emil Wasacz. Wasacz mógł zawsze liczyć na publiczną obronę ze strony Leszka Balcerowicza - przed atakami ze strony posłów AWS (!). A działo się tak nieprzypadkowo. Jak przypomniano Wasaczowi w czasie wywiadu prowadzonego z nim przez redaktorów "Życia" (nr z 28 marca 1998 r.): w przypadku PZU okazało się, że większość osób powołanych przez AWS-owskiego ministra skarbu do rady PZU ma powiązania z UW.

Wasacza wyraźnie łączyło z Balcerowiczem również silne poparcie dla prywatyzacji korzystnych głównie dla zagranicznych inwestorów, zbijających zyski kosztem interesów polskiej gospodarki. Dość przypomnieć dokonana za czasów szefowania resortowi skarbu przez E. Wasacza osławiona "prywatyzacja" warszawskich Domów Centrum, sprzedanych poniżej wartości gruntów, na których stały.

Znamienna była pierwsza decyzja ministra Wasacza po objęciu resortu skarbu. Była nią sprzedaż firmie Ruffeisen Atkins obligacji czwartego NFI. Jak przypomnieli redaktorzy "Życia" Wasacz był poprzednio pracownikiem właśnie tej firmy. Sprawa wywołała wiele szumu w prasie i w rezultacie NFI Progress musiał się wycofać z całej transakcji. Tłumaczył swe rozliczne, łagodnie mówiąc, kontrowersyjne "prywatyzacje", Wasacz wystąpił z dość swoistą motywacją swego postępowania; Lepiej, żeby Polacy pracowali u obcych niż grzebali w smietniku.

Wasacz nie ograniczał się do promowania ludzi z Unii Wolności. Wykazywał "przedziwną" szczodrość również i wobec ludzi związanych z SLD i ich sojuszników. Prawdziwie szokująca decyzja Wasacza było posunięcie przekształcające Totalizator Sportowy w spółkę zarządzaną przez wywodzącego się z ZSMP prezesa Sykuckiego.

Oznaczało to, że spółka, na której czele stali byli aktywiści ZSMP mogła prowadzić działalność komercyjną zamiast dotychczasowego przechodzenia do skarbu państwa zysków z monopolu loteryjnego. W "Życiu" z 14 stycznia 1998 r. pisano: Decyzja Wasacza. oznacza wolną rękę w gospodarowaniu majątkiem Totalizatora Sportowego przez zarządzaną przez byłych ZSMP-owców spółkę, praktycznie bez żadnej kontroli z zewnątrz. Okazało się przy tym, że minister Wasacz podjął taką decyzję mimo zastrzeżeń departamentu prawnego w jego resorcie.

Później okazało się, że kierowany przez gremium o ZSMP-owskim rodowodzie Totalizator Sportowy finansował festyny, podczas których swoje poglądy polityczne prezentowali posłowie SLD i PSL (wg "Życia" z 28 marca 2001 r.). W "Życiu" z 28 marca 1998 r. wyrażono zdumienie, że minister Wasacz mianował członkiem rady nadzorczej zakładów lotniczych w Mielcu Marka Pola - szefa Unii Pracy i gorącego zwolennika sojuszu ? SLD.

Było to tym bardziej zdumiewające, iż właśnie Marek Pol był członkiem gabinetu, który "doprowadził Mielec do oplakanego

stanu".

Po odejściu Tomaszewskiego z rządu Unia Wolności znów uzyskała w rządzie Buzka wicepremiera, jaki był dla niej możliwie najdogodniejszy. Został nim bowiem dotychczasowy minister pracy Longin Komolowski, znany z prounijnych skłonności, a przy tym wyjątkowo niemrawy i ciapowaty, więc tym łatwiejszy do sterowania przez Balcerowicza. Awans Komolowskiego powszechnie znanego z odkładania decyzji i braku stanowczości, wywołał prawdziwe zaszokowanie u niektórych obserwatorów polskiej sceny politycznej.

Komentator "Nowego Państwa" Jarosław Gajewski pisał w numerze z 22 października 1999 r. o Komolowskim: **Nie jest mocna osobowością i nie będzie stanowił politycznej przeciwwagi dla unijnego zastępcy premiera- Leszka Balcerowicza, który przy AWS-owskim wicepremierze już teraz jawi się niczym Wezuwiusz za swoich najlepszych czasów. Poza tym, wśród AWS-owskich członków rządu, próżno szukać bardziej prounijnej osoby niż Komolowski. Takie rozdanie kart jest niebezpieczne dla polskiej prawicy.**

Na bardzo wyraźny prounijny przechył Komolowskiego, skądinąd byłego członka PZPR, zwróciła również uwagę głosna publicystka "Tygodnika Solidarność" Teresa Kuczynska.

W tekście **"Marny los solidarnościowca"** ("Magazyn Tysol" nr 5 z 1998 r.) pisała o Komolowskim m.in.: **Objawszy teke ministerialne, pozostawił on wyższe stanowisko ludziom z Kurantowego rozdania z 1992 r. To znaczy nie tylko wprowadzonym- przez niego wówczas ludziom Unii Demokratycznej (obecnie Unii Wolności), ale i zaakceptowanym przez niego ludziom PZPR. Longin Komolowski startował w ostatnich wyborach parlamentarnych z ramienia AWS jako przewodniczący "Solidarności" regionu szczecińskiego. Jednak jego sympatie polityczne od czasu KOR-u ulokowane są po stronie Unii Wolności. Ponieważ cała "Solidarność" weszła do AWS, nie mógł on startować z ramienia Unii Wolności. Objawszy kierownictwo Ministerstwa Pracy, realizuje więc politykę kadrowe Unii Wolności, a nie AWS. Opiera się ona na zasadzie - nie ruszać czerwonych, promować ludzi związanych z Unią Wolności. Z poparciem dla tekstu Kuczynskiej o Komolowskim wystąpili twórcy "pierwszej Solidarności" na Pomorzu Zachodnim akcentując, że Komolowski został wybrany na przewodniczącego Zarządu Regionu przede wszystkim dzięki poparciu osób, będących byłymi członkami PZPR. Zażucili Komolowskiemu również/ że jako przewodniczący Regionu forował działaczy UW i byłych członków PZPR (według A. Eholctte: "Pajeczyna czerwono-różowa", "Nasza Polska" z 27 października 1999 r.)-**

VII. Buzek i Krzaklewski

Marionetkowy premier

Trudno zrozumieć, jakie względy (poza pewnością, że w Buzku znajdzie się marionetkę łatwą do dyrygowania) zadecydowały o powołaniu na premiera tak niepopularnego nawet w rodzinnym mieście, a więc nieskutecznego nawet wśród "swoich", działacza jak Jerzy Buzek. Przypomnijmy zbyt mało pamiętane fakty. Jerzy Buzek kandydował w 1997 r. w Gliwicach na 14. miejscu z listy wyborczej AWS. Kandydował na 14. miejscu, a podczas wyborów spadł jeszcze dużo niżej na 25 miejsce, trzecie od końca. Uzyskał zaledwie 1488 głosów, ale dostał się do Sejmu z listy krajowej i tam dostał kolejnego wspaniałego "kopniaka w górę" na premiera, choć powinno co poniektórych zastanowić, dlaczego działający od tylu lat w "Solidarności" Jerzy Buzek jest aż tak mocno niepopularny w swoim własnym mieście.

Nieudolność i totalna kompromitacja czteroletnich rządów premiera Buzka, tym bardziej nie zasługuje na jakiegokolwiek usprawiedliwienie, że przez te cztery lata nie brakowało wnikliwych publikacji ostrzegających przed taką kompromitacją i taką katastrofą. By przypomnieć choćby różne ostrzeżenia ze strony redaktora naczelnego "Nowego Państwa" Anatola Arciucha. Gdy pisał w tekście z 16 października 1998 r.: (...) wbrew oburzeniu i gwałtownym zaprzeczeniom ze strony czołowych postaci AWS trudno podważyć coraz powszechniejszą opinię, iż ugrupowanie to jest tylko parawanem dla realizowania przez UW własnego programu, premier Buzek zajmuje się głównie, jak złośliwie mówią Francuzi o politykach obecnych w mediach, ale pozbawionych rzeczywistej władzy, "inaugurowaniem chryzantem", podczas kiedy superminister Balcerowicz robi swoje, natomiast AWS-owi koalicyjny partner pozwala realizować tylko te elementy programu, które w niczym nie zagrażają jego

własnym celom albo jeszcze lepiej ~ są niepopularne lub mogą skompromitować awuśowskich polityków i cały ruch.

Podobnych ostrzeżeń i diagnoz było bardzo wiele i to już w pierwszych latach rządu Buzka.

Krzysztof Czabanski pisał na przykład w totalnym rozgoryczeniu co do rządu Buzka już 27 lutego 1998 r. na łamach "Życia": **W działaniach rządu nie widzę myśli państwowej. Ten brak mnie zresztą nie dziwi, gdyż jest to rząd kierowany przez premiera o zerowym doświadczeniu politycznym, a w swoim składzie ma wielu ministrów o mniejszych jeszcze od niego kwalifikacjach (...). Co dziwi, to fakt, iż koalicja rządząca, jej bezpośrednie zaplecze polityczne- uplatane w gry personalne - tak łatwo porzuca racje stanu na rzecz przepychanki o posady, pieniądze i wpływy. Wielce strusia polityka, która zemści się srodze przy najbliższych wyborach.**

Jeden z najbardziej krytycznych i nonkonformistycznych posłów AWS-u Mariusz Kaminski mówił bez ogródek w wywiadzie dla "Gazety Polskiej" z 25 kwietnia 2001 r.: **Przywódtwo Jerzego Buzka jest bardzo słabej jakości; Buzek koncentruje się na rządzie, a w sytuacjach konfliktowych ustępuje przed szantazem - mieliśmy tego dowód przy okazji sprawy Tomaszewskiego. Byłem zazenowany brakiem wyobraźni premiera, tym, że ponad interes całej prawicy postawił interes swojej RS-owskiej grupy i zazęgnięcie konfliktu wewnątrz Ruchu.**

Wskazywano niejednokrotnie, że premier jest aż nadto chętny do przytakiwania kolejnym rozmówcom i nie czynienia potem nic. Co złośliwi dodawali, że premier Buzek przytakuje, bo tak naprawdę sam nie ma za bardzo wiele do powiedzenia. Zarzucano premierowi, że nie ma żadnej wyrazistszej wizji tego, co jego rząd powinien robić, że cechuje go fatalna chwiejność. Te wszystkie cechy premiera doprowadziły do dość szczególnej sytuacji.

Jak pisał Igor Zalewski w "Nowym Państwie" / 22 października 1999 r. o wszystkich partiach, składających się na AWS: **Widząc słabość premiera, wkrótce przestały traktować go jako suwerena. Buzek stał się natomiast adresatem skarg, żądań, apeli, listów otwartych i poufnych, które błyskawicznie stawały się nie poufne. Miał prawo robić wszystko, byle tylko nie naruszyć interesów którejkolwiek z formacji "wspierających" go. Jeśli to uczynił, zaraz zaczynały się lamenty i szantaze.**

W tej sytuacji pole manewru Buzka ograniczyło się do rozmiarów przyzagrodowego poletka w rodzinie kolchozników.

Cały kolchoz był - co prawda - wielki, ale działka przynosząca prawdziwe plony miała mikroskopijne rozmiary.

I tak też było z władzą premiera: niby ogromna, ale tak naprawdę nie było jej wcale.

Mozna by długo wyliczać przykłady, jak premier Jerzy Buzek w swych czynach dosłownie zaprzeczał gloszonym przez siebie pięknym hasłom. Jednym z najbardziej kompromitujących go zachowań była faktyczna postawa wobec dekomunizacji.

W wywiadzie dla "Tysolu" (nr 3 z 1998 r.) **premier Buzek w przejęciem deklamował: Jesteśmy w tej chwili praktycznie jedynym krajem Europy Środkowo-Wschodniej, który wyraźnie nie ustosunkował się do czterdziestu kilku lat totalitarnego systemu, komunistycznego. A jest to bardzo potrzebne wielu obywatelom naszego państwa.**

Jak na tle tej deklamacji o "bardzo potrzebnym" rozliczeniu z komunizmem wygląda fakt, że w październiku 1999 r. premiera Buzka zabrakło właśnie w czasie decydującego głosowania w sprawie dekomunizacji. Premiera zabrakło, bo "musiał" złożyć "niezwykle pilną" gospodarską wizytę w mleczanach w Wysokim Mazowieckiem.

Nawet bardzo przychylny premierowi Buzkowi naczelny "Gazety Polskiej" Piotr Wierzbicki nie ukrywał w tej sprawie głębokiego niezadowolenia za zachowania premiera: **Jesli antykomunizm ma polegać na tym, cosmy widzieli przy uchwalaniu ustawy dekomunizacyjnej, to ja dziekuje. Odbywa sie jedno z najwazniejszych glosowan w tym Sejmie, a premier wyjezdza do mleczarni (...)** (według wywiadu P. Wierzbickiego dla "Życia" z 22 stycznia 2000 r.).

Dla mnie zachowanie J. Buzka w tej sprawie było zarazem głęboko nieuczciwe i kompromitujące. Moi przyjaciele wciąż zapytywali, w co u licha gra ten Buzek?

Nic nie może usprawiedliwić poparcia, jakie udzielił Buzek osławionemu żydowskiemu spekulantowi giełdowemu z USA - George Sorosowi, który od wielu lat finansuje główne siły walczące w Polsce z wartościami chrześcijańskimi i patriotyzmem.

Jak mogło dojść do tego, że premier reprezentujący chrześcijańsko-patriotyczny AWS, publicznie popisał się - obok A. Kwasniewskiego - laudacją na cześć Sorosa z okazji przyznania mu nagrody "Gazety Wyborczej".

Przypomnijmy, że prawicowi premierzy Węgier (J. Antall) i Czech (V. Klaus) szybko i jednoznacznie ocenili szkodliwość działań Sorosa dla swych krajów. Klaus znany był z niezwykle stanowczych działań dla zablokowania lewackich i antypatriotycznych wpływów Sorosa w Czechach.

J. Buzek wybrał za hold dla tego tak niebezpiecznego dla Polski i polskości spekulanta (zob. przemówienie Buzka ku czci Sorosa w "GW" z 9 maja 2000 r.).

Krzaklewski, "elastyczny" czy koniunkturalista

Mало się pamięta, że już w 1992 r. Krzaklewski jako szef "Solidarności" poparł zdominowany przez Unię Demokratyczną rząd Suchockiej. Ze za jego poparciem duża część klubu parlamentarnego "Solidarności" głosowała w 1992 r. za Januszem Lewandowskim, mimo tylu ewidentnych kompromitacji tego ministra w sprawach prywatyzacji za bezcen. W wywiadzie dla "Tygodnika Solidarność" z 30 października 1992 r. Krzaklewski tłumaczył, że utrzymano Lewandowskiego, bo nie chciano załamania rządu i kolejnych przyspieszonych wyborów. I dodawał, że nie o usunięcie Lewandowskiego należy walczyć, lecz o wprowadzenie systemu kontrolującego i weryfikującego dla osób na stanowiskach prominentnych i kierowniczych. Mówił to w czasie, gdy Lewandowski ze swoimi fatalnymi decyzjami prywatyzacyjnymi był już w oczach bardzo wielu Polaków straszliwym symbolem wyprzedazy przemysłu za bezcen.

Koniunkturalizm Krzaklewskiego niejedno miał imię.

- **Nie ulega wątpliwości, że Krzaklewski dla własnych interesów popierał Walese w czasach wachowszczyzny (...)** - przypomniał Lisiewicz na łamach "Gazety Polskiej" z 18 listopada 1998 r.

Muszę przyznać, że sam niezłe nabrałem się przy lekturze przedwyborczego wywiadu książkowego Mariana Krzaklewskiego z 1997 r. Czas na akcje. Krzaklewski przedstawiał się larn jako jednoznaczny, zdecydowany przeciwnik tzw. lewicy laickiej KOR-u, Unii Wolności, doskonale znający się na różnych manipulacjach unitów. Na pewien krótki czas zawierzylem nawet w tę twardość. A później okazywało się wciąż, że Krzaklewski faktycznie firmował ciągle ustępowanie AWS-u przed naciskami UW i jest fatalnym współsprawcą wynikłej stąd strasznej degrengolady AWS-u.

Dziennikarz "Gazety Wyborczej" Jarosław Kurski z satysfakcją odnotował w numerze z 3 czerwca 2000 r. przedziwną bierność Krzaklewskiego i jego wyraźne pogodzenie się z zaprzeczaniem radykalnych idei wyborczego programu "Solidarności" pod naciskami Unii Wolności.

Według Kurskiego: **Z perspektywy czasu Krzaklewski jawi się jako polityk elastyczny. Gdzieś się zapodziała jego pryncypialność.**

Hasła, którymi necił skrajną prawicę, pozostały na papierze:

- **"niemożliwa koalicja z UW" - stała się możliwa;**
- **"zmianie konstytucji" nikt się nawet nie zająknął;**
- **Unia Europejska tylko jako "Europa Ojczyzn" - jak wyżej;**
- **powszechne uwłaszczenie:- wielki znak zapytania. "Ja nie wiem, czy on jeszcze w to wierzy"- mówi jeden z liderów AWS.**

- - **"Wiem jedno: że absolutnie nie wierzy w to jego otoczenie. Jeśli już, to tylko Wójciki Biela";**
- **· dekomunizacja - trzeba pokazywać, że się jej chce. Wymowne jednak, że w dniu głosowania ustawy dekomunizacyjnej premier Buzek nie bierze udziału w głosowaniu - ma ważną wizytę w mleczarni;**
- **· PZPR - "zbrodniczej organizacji" - cicho, jak makiem zasiał;**
- **· reprivatyzacja - ciągle się slimaczy.**

Te pochwały "elastyczności" Krzaklewskiego ze strony "Gazety Wyborczej" uważam za coś szczególnie kompromitującego dla lidera AWS. Wymownie pokazuje bowiem, jak żalosnie zawiódł on swoich zwolenników, jak mało pozostało faktycznie z jego obietnic przedwyborczych. Najśmieszniejsze, że sam Krzaklewski ciągle udaje, jak gdyby nic się nie stało; publicznie zapewnia (31 sierpnia 2001 r.), że program wyborczy AWS z 1997 r. został zrealizowany prawie w całości. Tym stwierdzeniem Krzaklewski przekroczył wszelkie granice groteski! I jeszcze raz dowiódł, że nie wyciągnął wniosków z żadnej z dotychczasowych, jakże bolesnych lekcji.

Spełniły się najbardziej ponure zapowiedzi tych, którzy ostrzegali, że Krzaklewski powinien zrobić wszystko dla radykalnej zmiany wizerunku i sposobu wypowiedzania się, jeśli chce wygrać wybory prezydenckie. Ostrzeżenia, typu tekstu Piotra Lisiewicza w "Gazecie Polskiej", już 18 listopada 1998 r. alarmującego, że; Marian Krzaklewski - zarozumiały narcyz, nienaturalny bufon, przed kamerą zachowujący się jak przestraszony, wyrwany do odpowiedzi uczeń, nie ma żadnych szans w prezydenckiej rywalizacji z Aleksandrem Kwasniewskim. Nie umiał zmienić się i fatalnie przegrał. Mimo to nadal, zawsze "mocny w gebie", Krzaklewski wciąż zapowiadał zwyczajnie szarże husarii czy kawalerii. Zamiast tego jednak wciąż było widać głównie gromady pazernych ciurów w polawianiu łupów.

Trzeba o tym otwarcie mówić, nie ukrywając odpowiedzialności kierowniczej ekipy Krzaklewskiego i Tomaszewskiego. Buzka za tolerowanie pogody dla przeróżnych cwaniaków w kierownictwach ZUS-u, PZU "Życie" i tylu innych instytucjach.

Trzeba o tym mówić otwarcie, bo jak pisał Cyprian Kamil Norwid:

Czy ten ptak kała gniazdo, co je kała, Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?

VIII. Jak przegrywano na życzenie

Sfuszerowany "bilans otwarcia"

Jeszcze na szereg miesięcy przed powołaniem rządu Buzka na przeróżnych forum akcentowałem potrzebę dokonania przez przyszły rząd prawicowy prawdziwie gruntownego bilansu otwarcia - raportu o stanie państwa. Było jasne, że jak trudnej sytuacji się startuje, by można było mówić o rozmiarach szkód i zaniechan, wynikłych z polityki dotąd rządzącej SLD.

Gdyby zrobiono taki uczciwy, głęboki bilans właśnie wtedy, po powstaniu rządu koalicyjnego AWS-UW w 1997 r., mianoby bardzo wiele argumentów, które przeszkodziłyby dzisiaj - w 2001 r. - obciążeniu rządów solidarnościowych całą winą za tak katastrofalny stan państwa. Trzeba było jednak chcieć! Premier Buzek i jego koledzy, zamiast prawdziwego, głębokiego raportu bilansującego stan państwa/ zaprezentowali przygotowany na odczepnego, aby zbyc "Bilans otwarcia", który niczego faktycznego nie dokumentował, tonąc w rozlicznych powierzchownych ogólnikach.

Przypomnę tu fachową ocenę tego pseudoreportu, dokonana na łamach "Nowego Państwa" w tekście "Bilans niekompetencji" z 20 marca 1998 r. przez Marka Krukowskiego.

Pisał on m.in.: **Zawarta między AWS a UW umowa koalicyjna zakładała sporządzenie do końca zeszłego roku "szczegółowego "bilansu otwarcia" - raportu o stanie państwa po czterech latach rządów SLD i PSL". Raport zapowiadano jako wysokiej rangi wydarzenie, polityczna bomba mająca wstrząsnąć Polską i pokazać obywatelom bezmiar zła wyrządzonego przez poprzednią koalicję, jak również towarzyszące jej działaniom świadome intencje**

uczynienia z Rzeczypospolitej "republiki koleśiów". Bilans miał stanowić legitymację dla nowego gabinetu do podjęcia zarzuconych przez postpeerelowskiej ekipy rządzące niezbędnych, a przy tym znowu kosztownych reform. Miał gruntownie udokumentować wysuwane wcześniej pod adresem obozu postpeerelowskiego propagandowe zarzuty. Okazał się jednak dokumentem słabym. Niektóre fragmenty raportu porażają wprost banalnością (...).

W raporcie roi się od ogólnych danych, ale często nie ma ich tam, gdzie o nie prosi, aby pokazać skalę kosztów zaniechan. Na przykład nie ma informacji, ile przez cztery lata budżet musiał wyłożyć na utrzymanie państwowych molochów gospodarczych, ile wynosi zadłużenie przedsiębiorstw państwowych czy ile zapłaciliśmy za brak restrukturyzacji w górnictwie. Nie uzmysłowiono groźby krachu finansów publicznych, jaki nastąpi w niedalekiej przyszłości wskutek nie przeprowadzenia reformy systemu emerytalnego.

Nic odniesiono się do kondycji średnich i drobnych przedsiębiorstw - nie otrzymaliśmy oceny, jak tamte cztery lata wpłynęły na szanse założenia czy utrzymania firm rodzinnych. Nie poświęcono nawet wzmianki patologiom naszego systemu bankowego i fiskalnego. Nie określono skali procedury zaprowadzania koncesji, kontyngentów, subwencji czy ulg podatkowych dla wybranych podmiotów gospodarczych, tak jak nie oceniono poziomu monopolizacji gospodarki czy rozrostu biurokracji, a tym samym marnotrawienia publicznego grosza. Zabrakło informacji o rozmiarach szarej strefy, próby oceny, czy się ona przez ostatnie cztery lata rozszerzyła, czy też umocniła i z jakich powodów (...).

Bilans otwarcia nie wszedł głębiej w istotę rzeczy, nie dotarł do jadra działania mechanizmów państwa. Nie pokuszono się o przedstawienie wpływu błędów, zaniechan i złych intencji postkomunistycznych gabinetów na kieszeń przeciętnego obywatela czy kondycję gospodarstw domowych. Podsumowując: z raportu nie wynika żadna rządowa wizja państwa ani to, co rząd zamierza zrobić. Poza tym, że ogólnie ma być lepiej.

Nazywając rządowy raport "propagandowym niewypałem", Krakowski pisał dalej, że: **Zamiast raportu o stanie państwa otrzymaliśmy kiepskie, pisane "na kolanie" wypracowanie (...).**

Raport powstawał m.in. na podstawie materiałów otrzymanych ze zdominowanych przez "czerwone kadry" ministerstw. Być może w tym kryje się jedna z przyczyn kiepskiego efektu końcowego. Jeśli tak to powinno to być sygnałem ostrzegawczym, że nadszedł najwyższy czas na gruntowne zmiany kadrowe, bo w przeciwnym razie niewiele da się osiągnąć.

Lektura "Bilansu otwarcia" sprawia niewatpliwy zawód. Zapewne tym większy, im więcej dany czytelnik pokładał nadziei w gabinecie premiera Jerzego Buzka, Bilans, na tle innych poczynan rządu i koalicyjnych sił w parlamencie, rodzi dramatyczne pytanie, czy te nadzieje nie są aby płonne. Czy przygotowywany przez ekipę Buzka bilans nie jest dowodem, niekompetencji również obecnego rządu?

Wcześniej, jeszcze na parę tygodni przed felietonem Krukowskiego, w "Nowym Państwie" z 5 marca 1999 r. równie ostro "zrecenzował" wspomniany "Bilans otwarcia" Paweł Siennicki, pisząc: **Przygotowany przez służby informacyjne rządu "Bilans otwarcia" okazał się propagandowym ziewnięciem o małej wartości merytorycznej. To bardzo utrudniło politykę reform, które jawiły się nie jako konieczne, a wymyślone przez AWS-owskich i unijnych polityków.**

Dzis po czterech latach rządów AWS SLD-owcy mogą tym łatwiej zwałac na nią winy za całe zło we wszystkich dziedzinach. Tylko dlatego, że kiedyś przez lenistwo nie przeprowadzono prawdziwie gruntownego "bilansu otwarcia".

Były to jedne z pierwszych, jakże wymownych i jakże słusznych - jak się okazało - alarmistycznych ostrzeżeń na temat zaniechan i niekompetencji rządu Jerzego Buzka. Przypomnijmy jednak, że ten uczciwy ton analizy działań i zaniechan rządu Buzka nie był niestety nasładowany w dużej części zbliżonych do "Solidarności" mediów. Czy trzeba przypominać, jak dalej w niektórych z tych mediów fetowano - bez, żadnych większych zasług - rząd Buzka, jak tego niewydarzonego premiera ogłaszano "Człowiekiem roku", nazywano najlepszym z premierów, etc. etc. Może dziś wytłumacza się niektórzy z

najskrajniejszych pochlebców owych dni.

Niestety, aż nadto wiele osób spośród ekipy kierowniczej AWS "zatroszczyło się o to", by załamały się projekty najbardziej potrzebnych radykalnych zmian, od ustaw o dekomunizacji i prokuraturii po gruntowną poprawę sytuacji w mediach. Zamiast prawdziwie głębokich zmian wybrali stanowiska i próżną gadaninę. I tak niestety w niemalże części spełniły się złośliwe zapowiedzi Jerzego Urbana: Rządu Krzaklewskiego, to więcej frazesów, bankietów (...). Niech się pobawia. Nawet rządząca prawica będzie za słaba, żeby nam coś naprawdę zrobić, ale na tyle mocna w gabie, żeby stworzyć wrażenie, że lewica podlega przesładowaniom.

Zupełnie niezgodne z faktami jest nagminne tłumaczenie przez premiera Buzka i różnych liderów AWS fatalnego spadku popularności tej formacji wyłącznie jako kosztów niezbędnych, a bolesnych reform. Prawdziwym źródłem klęski AWS były ciągle ustępstwa wobec celów politycznych i gospodarczych Unii Wolności, ustępstwa, które były faktycznym zdradzeniem samej istoty wyborczego programu AWS z 1997 r. W pełni zgadzam się tu z uwagami świetnego zagranicznego obserwatora polskich przemian, przebywającego w Polsce od paru dziesięcioleci francuskiego korespondenta Bernarda Margueritte'a.

W tekście "Cena megalomanów" ("Tygodnik Solidarność" z 13 października 2000 r.) pisał bez ogródek: Jest prawda, że trudności żyją w kraju dla milionów ludzi spowodowały ucieczkę od kandydata AWS (...). Ale tłumaczenie, że względna porażka jest konsekwencją koniecznych, aczkolwiek bolesnych reform, nie jest przekonujące. W istocie te reformy nie mogły się udać i wręcz były sabotowane tak długo, jak Unia Wolności współpracowała z AWS. Źródła wyniku Krzaklewskiego jest to, że z powodu megalomanii z liberalami AWS nie była w stanie dotrzymać wielu obietnic wyborczych. Tak się zawsze dzieje, kiedy gubi się tożsamość, kiedy wierność samemu sobie jest wątpliwa. To jest wielka lekcja tych wyborów.

Złamana umowa

Uważna lektura tekstu publikowanej 7 listopada 1997 r. umowy koalicyjnej AWS-UW pokazuje/ że w ciągu kilku lat koalicji realizowano głównie te punkty umowy, które były korzystne dla Unii Wolności. Równocześnie zaś starannie opóźniano lub blokowano najważniejsze punkty programowe AWS, zawarte w tej umowie. Niewiele wyszło z obiecanej już w pierwszym konkretnym postulacie w tej umowie - prowadzenia prorodzinnej polityki finansowej, podatkowej i pomocowej.

Fatalnym blamazem okazał się sposób zrealizowania innej obietnicy-"bilansu państwa". Nic nie wyszło z szumnej obietnicy budowy państwa "zrywającego ostatecznie z komunistyczną przeszłością". Szczególnie nachalnie łamano zawartą w umowie koalicyjnej obietnicę "kompletnej obsady personalnej w urzędach i całym sektorze publicznym z poszanowaniem zasady rozdziału sfery politycznej od fachowego korpusu urzędniczego oraz oddzielenie polityki od gospodarki".

Spośród jakże wielu przykładów mianowania ze względów politycznych osób totalnie niekompetentnych na różne ogromnie wpływowe stanowiska dość przypomnieć takie fakty, jak awans J. Tomaszewskiego z dyplomem ukończenia technikum samochodowego na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, awans świeżo upieczonego magistra Zbigniewa Bujaka (przy wsparciu UW) na prezesa Głównego Urzędu Cel i groteskowa wręcz nominacja unijnej kandydatki Wnuk-Nazarowej na ministra kultury. Unia Wolności konsekwentnie łamała punkt umowy koalicyjnej/ zapewniający, iż: Publiczne radio i telewizja przekształcone będą w instytucje prawdziwie publiczne i obiektywne. Koalicja przeprowadzi w związku z tym konieczną nowelizację ustawy KRRiTY.

Niestety, brak miejsca nie pozwala tu na wyliczenie wszystkich innych/ jakże licznych, punktów umowy koalicyjnej, złamanych głównie z powodu konsekwentnej obstrukcji Unii Wolności.

W toku rządów koalicyjnych Unia Wolności, stosując ciągle szantaż i prowokując kolejne przesilenia, konsekwentnie prowadziła swoistą politykę salami wobec AWS. Polegała ona na obcinaniu siły reprezentacji parlamentarnej AWS poprzez prowokowanie odejść z niej najbardziej zdecydowanych posłów nurtu patriotycznego, w tym grupy posłów bliskiej Radiu

Maryja.

Ze strony Unii wysuwano coraz skrajniejsze zadania wobec AWS-u, a kolejne ustępstwa musiały zniechęcać do dalszego udziału w Akcji ludzi najbardziej niezależnych duchowo i bezkompromisowych. Bardzo pomagali Unii Wolności w tej polityce niektórzy wciąż dyscyplinujący krnąbrnych posłów patriotycznych posłowie związkowi i wyjątkowo nadgorliwi w pietnowaniu "posłów-warcholów" poseł Stefan Niesiolowski. Rzekome "warcholstwo" miało polegać na oporze wobec firmowania w głosowaniach sejmowych kolejnych, niczym nie uzasadnionych ustępstw wobec nacisków Unii Wolności czy wobec bronienia fatalnie skompromitowanych swymi działaniami ministrów typu Wasacza.

Po tylekroć próbuje się dziś usprawiedliwiać rozmiary niedokonania i zaprzepaszczona ekipy Buzka wetami prezydenta Kwasniewskiego. Tylko że jakże łatwo można było z góry przewidzieć, że dojdzie do takich wetów, a jedynym środkiem, który mógł im zapobiec, było stworzenie poprzez porozumienie z PSL odpowiednio silnej większości sejmowej.

Zabrakło "polskiego rozumu"

Najfatalniejsze skutki dla AWS przyniosło oddanie gospodarki w ręce przewodniczącego Unii Wolności Leszka Balcerowicza, głównego odpowiedzialnego za wprowadzenie tak niszczącego produkcję w Polsce i szanse polskiego eksportu planu Sorosa-Sachsa - Balcerowicza (szeroko pisze na ten temat w czwartym tomiku tej serii "W obronie polskich interesów" w rozdziale "Oszustwo terapii szokowej").

Jakże celnie napiętnował tę dziwną uległość kierownictwa AWS wobec gospodarczych koncepcji Balcerowicza Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla "Nowego Państwa" z 12 stycznia 2001 r. pt. "Rozum solidarnościowy". Zarzucił tam przywódcy AWS, że w swym rządzeniu oparli się na zdominowanym przez amatorszczyznę "rozumie solidarnościowym", który okazał się "małym rozumem". Zdaniem Kaczyńskiego: Lepiej się było kierować polskim rozumem. Czyli odwoływać się do potencjału intelektualnego, jaki ma cały kraj, a nie tylko wąskie środowisko (...). Przyjęcie bez zastrzeżeń koncepcji Balcerowicza okazało się fatalne, jego polityka to bezwzględna realizacja interesów grup związanych z bankami i importerów. Banki zupełnie zawiodły jako motor postępu gospodarczego (...). Przywileje dla importerów obciążają straszliwie bilans handlowy i utrudniają rozwój własnego przemysłu i handlu. Trwonienie grosza publicznego, które jest immanentnym elementem tego typu gospodarki (fundusze budżetowe) niszczy państwo. Chore państwo niszczy społeczeństwo, które z kolei oddziałuje na kształt gospodarki i na państwo. Powstaje system wzajemnie napędzających się patologii, w którego centrum stoi fatalnie skonstruowana klasa kapitalistyczna (...). Klasa kapitalistyczna w Polsce dobrano na zasadzie czysto negatywnej, głównie z nomenklatury i z tego, co można określić jako element z bazaru socjalistycznego.

Zdaniem Kaczyńskiego w Polsce wygrało myślenie w stylu: **Wprowadzimy wśród Zulusów wolny rynek, a efekt będzie taki sam, jak w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście, że nie będzie.**

Fakty potwierdzają na każdym kroku diagnozę Jarosława Kaczyńskiego. Przyjęte przez Balcerowicza zasady polityki gospodarczej umożliwiły rozlicznym firmom zachodnim kantowanie nas tak, jak afrykańskich Zulusów. To skrajne nabieranie Polaków zostało - o dziwo - odnotowane nawet chyba przez nieuwagę "nowych cenzorów" nawet na łamach "Gazety Wyborczej" z 12 stycznia 2001 r. W publikowanym w niej wówczas tekście Macieja Sarnickiego i Rafała Zasunia "Marze z gumy i dojenie córek" napiętnowano niektóre firmy zagraniczne za to, że zachowują się u nas zupełnie, jak w jakimś kraju afrykańskim. Chodzi o wyciąganie przez zagraniczne firmy wielkich zysków z podporządkowanych im polskich spółek (ich "córek") **"z coraz większymi stratami skarbu państwa"**.

Trudno pogodzić się z nagminnie stosowanym przez przywódców AWS argumentem, mającym usprawiedliwić ciągle zsuwanie się AWS po linii pochylej: przegrywamy, bo przeprowadziliśmy cztery wielkie bolesne reformy w interesie całego społeczeństwa. W rzeczywistości "wielkie" reformy zostały niemilosierdzie spartaczona.

Szczególne szkody pozycji AWS w społeczeństwie przyniosła wyjątkowo źle przemyślana i przygotowana reforma służby zdrowia, zwłaszcza zbiurokratyzowane i upartyjnione, prawdziwie "chore" kasy chorych. Ich funkcjonowanie stało się doskonałym celem dla ataków propagandystów z SLD, rzucających chwytliwe hasła w stylu: "Kasy chorych i rząd wysłać na Dziką Łódź". Postkomunistyczni propagandyści gruntownie przemilczeli jednak fakt, że to częstokroć właśnie ludzie z SLD byli głównymi beneficjentami niezdrowych struktur kas chorych, gruntownie wykorzystując je do umacniania swoich politycznych wpływów. Częstokroć bili przy tym prawdziwe rekordy niegospodarności.

Dość przypomnieć o żalnym stanie zdominowanej przez SLD i PSL kasy chorych w Łodzi, opisanym w dramatycznym wprost tekście Małgorzaty Soleckiej "Partyjne targi, deficyt i afery" ("Rzeczpospolita" z 17 października 2000 r.). Zarządzanie łódzka kasa chorych było tak fatalne, że kasie groził zarząd komisaryczny. Solecka alarmowała na temat fatalnego stanu politycznego rozlicznych innych kas chorych, pisząc, że np. w mazowieckiej kasie chorych, również zdominowanej przez PSL i SLD, upolitycznienie - jak twierdzą niektórzy członkowie rady - sięga sprzateczek, - jeśli jedna jest z SLD, druga musi być z PSL - opowiadają (...), Dyrektorzy ZOZ skarżą się najczęściej na kompletny brak zrozumienia - problemów ochrony zdrowia przez pracowników kasy. - "To urzędasy. Tylko nieliczni mieli do czynienia z pracą w szpitalu" - mówi.

Zaprzeczanie sprawy mediów

Utrzymanie w rękach postkomunistycznych kontroli przeważającej części mediów, w tym najbardziej wpływowych - na czele z telewizją - miało (i ma nadal) katastrofalne skutki dla rozwoju sytuacji politycznej w Polsce po 1989 r. Bo to media były i są faktycznie pierwszą władzą, urabiając odpowiednio opinie o politykach i partiach, decydując o preferencjach wyborczych. W odróżnieniu od polityków prawicowych te role od początku doskonale rozumeli komuniści.

Faktem jest, że przez cały okres po 1989 r. gros najbardziej wpływowych dziennikarzy w Polsce stanowiły nadal osoby uformowane pod skrzydłami partyjnej propagandy w PRL. A jaka była wówczas większość dziennikarzy najlepiej świadczy przeprowadzony w 1987 r. sondaż.

Otóż, okazało się wtedy, że w kraju, w którym 95 proc. narodu stanowili katolicy, przeważająca część dziennikarzy (58 proc.) stanowili ateści. Równie wielka, a może jeszcze większa ich część stanowili równego typu internacjonalisci, czytaj: osoby wierne w pierwszym rzędzie interesom sowieckim, a nie mający ani krzty poczucia narodowego.

A przy tym gotowi na wszystko w ramach wysługiwania się tym, co są ich najbliżej sercu czy raczej korytu.

Jeden z takich dziennikarzy Wojciech Gielżyński, "wslawiony" wydana w 1968 r. obrzydliwa broszura atakująca środowiska opozycyjne, tłumaczył w wywiadzie dla paryskiej "Kultury" z 1987 r. swą postawę i postawę przeważającej części dziennikarzy: Swinillismy się niewinnie. I to już była prawdziwa zagadka - jak można swinic się niewinnie?

Lewicowe media starannie zadbały o to, by maksymalnie odwrócić uwagę społeczeństwa od tak podstawowych, a niebezpiecznych dla postkomunistów tematów, jak dekomunizacja czy lustracja. Skupiano za to tym więcej uwagi na walce z urojonymi niebezpieczeństwami polskiego "nacjonalizmu", "antysemityzmu" czy rzekomej groźby "państwa wyznaniowego" w Polsce. Im więcej się o tym mówiło, im więcej straszono widzów lub czytelników rzekomymi, coraz potężniejszymi ingerencjami Kosińskiego w sferę życia publicznego czy rzekomym nasileniem nacjonalizmu, tym większa była szansa przemilczenia ciągle nierozwiązanego problemu dekomunizacji, potężniejszych "czerwonych karteli" w gospodarce czy mediach.

Dostrzegła to wnikliwa obserwatorka polskiej sceny politycznej zza oceanu Ewa M. Thompson, pisząc w "Tygodniku Solidarnosc" z 16 lipca 1993 r.: **Czytając polskie czasopisma centrolewicowe odnosilam wrazenie, ze pelne sa one "czerwonych sledzi", tzn. tematów odciażających uwagę czytelników od spraw najważniejszych i kierujących tę uwagę na sprawy marginesowe tak, aby sprawy najważniejsze załatwiane były poza zasięgiem uwagi publicznej, Np. o sprawie lustracji mówi się tylko półgębkiem albo wcale.**

Pozostawienie całkowitej dominacji mediów w rękach postkomunistów ułatwia im maksymalne manipulowanie informacjami.

Najdrobniejszy błąd czy potknięcie ze strony sił prawicowych jest maksymalnie nagłasniane.

Równocześnie maksymalnie tuszuje się wszelkie rzeczy, które kompromitują środowiska postkomunistyczne, przemilcza historię grubych afer popełnianych przez ludzi z tej opcji. Jak bardzo zmanipulowany jest ten medialny obraz najlepiej widzimy na przykładzie telewizyjnego przedstawienia postaci prezydenta Kwasniewskiego.

Bonczowie telewizyjni dobrze zatroszczyli się o to, by telewidzowie nie mieli pojęcia o najróżniejszych "wyczynach" Kwasniewskiego, począwszy od podania fałszywych danych o rzekomym wyższym wykształceniu poprzez sławetne incydenty z wchodzeniem do bagażnika w "stanie wskazującym", "niecodziennego" zachowania w Charkowie - tłumaczonego "urazem goleni prawej" i słynnego incydentu kaliskiego z Siwcem, etc.

Tym większe zdumienie budzi fakt, że przez cztery lata rządów AWS, faktycznie nie zrobiono niczego dla zmienienia tak patologicznej sytuacji w publicznych mediach i ich odpolitycznienia. Doskonale znający sytuację w mediach dziennikarz telewizyjny i publicysta z Radia "Plus" Jacek Leski z gorzycą pisał w "Nowym Państwie" z 27 listopada 1998 r. o politykach AWS, jako o "medialnych niemowlakach". Leski tłumaczył kolejne klęski AWS w walce o telewizję tym, że AWS, jako całość, nie ma wystarczającej determinacji do przeprowadzenia zmian w TYP, że cała gra o TYP prowadzi ze strony AWS nieudacznicy i medialne antytalenty typu Andrzeja Anusza i Emila Wasacza.

Nieudolność i brak skoncentrowania się polityków AWS na walce o tak decydujące sprawy, jak stosunek sił w telewizji, zadecydowały o kompletnej przegranej środowisk AWS w najbardziej wpływowych mediach. O tym, że właśnie za rządów AWS postkomunistyczna lewica i jej sojusznicy spokojnie doprowadzili do końca prowadzona od lat czystka w telewizji publicznej i w lokalnych radiach (m.in. głośna czystka wszystkich dziennikarzy nie lewicowych w Radiu Łódź).

Jakże groteskowo wyglądały kolejne wymigujące się od konkretów zapewnienia Krzaklewskiego czy Buzka, przyduszanych przez dziennikarzy pytaniami o to, co robią dla zmienienia skrajnie tendencyjnego kształtu mediów i podważenia ich totalnego zdominowania przez lewicę postkomunistyczną. Oto dwa typowe fragmenty tych, jakże kompromitujących, usprawiedliwien i wymigiwań się. W czasie rozmowy dziennikarzy "Gazety Polskiej" E. Isakiewicz i T. Sakiewicza z premierem J. Buzkiem (nr z 10 listopada 1999 r.) postawiono m.in. pytanie: **AWS obiecywała w kampanii wyborczej zmiany w telewizji publicznej. Tymczasem w telewizji dzieje się gorzej, nagłasniane są tylko poglądy jednej opcji politycznej, a prawica nieustannie znajduje się pod pretekstem. Otrzymujemy wiele listów od wyborców AWS rozszalonych tym, że nic w tej sprawie nie zrobiono. Jak Pan to tym ludziom wytłumaczy?**

Odpowiedź premiera glosiła m.in.: **Mozemy działać tylko w ramach obowiązującego prawa. Nasza główna zasada to właśnie tworzenie państwa prawa. Prawo dotyczące telewizji publicznej jest ulomne i być może należy je zmienić. Jedyńy konkretny w całej odpowiedzi zapowiadał więc, że "być może" należy zmienić ulomne prawo.** Cały Buzek!

Te same sprawy podjęto pół roku później w "Gazecie Polskiej" (nr z 19 kwietnia 2000 r.) w rozmowie z kolejnym specjalistą od uników - Marianem Krzaklewskim. Dziennikarze: A. Gargas i T. Sakiewicz przypomnieli: **AWS obiecywała po wyborach zmiany w mediach publicznych. Tymczasem zmiany następują na gorsze. W TVP mamy do czynienia z jawną cenzurą i nachalnym promowaniem Kwasniewskiego.**

Zamiast jakichkolwiek konkretów uzyskali od Krzaklewskiego odpowiedź w stylu: bla-bla: - Robimy to, co umożliwi nam prawo. Spowodowaliśmy, że Unia Wolności usiadła razem z nami przy stoliku medialnym. Ostatnio rozmowy odbywają się w trójkacie AWS-UW-PSL. Zostały uruchomione zespoły, które stawiają sobie za cel zapewnienie równowagi w mediach publicznych.

Dziennikarze ponowili więc nacisk w tej sprawie, mówiąc: **O zespołach, które mają dokonać zmian w mediach, mówi Pan w każdym wywiadzie dla "GP". Nic z tego nie wynika.**

I znów pada kolejne mało poważne tłumaczenie ze strony szefa AWS: **Zmiany nie są łatwe, gdyż nasz partner koalicyjny**

miał duży wpływ w mediach publicznych i nie był zainteresowany zmianami.

Przypomnijmy, że były w tej sprawie jednoznaczne zapisy w umowie koalicyjnej, a tu partner "**nie był zainteresowany zmianami**". No to, co u licha robiło się dla egzekwowania tej umowy? Dlaczego UW umiała przeforsować wszystkie swoje postulaty, a AWS okazywał tak żalosną bierność i to w tak ważnej, kto wie, czy nie najważniejszej sprawie - walce o przywrócenie uczciwych stosunków w mediach publicznych. Ale Krzaklewskiemu wystarczyło to, że Unia Wolności usiadła razem z nami przy stole medialnym.

Usiadła. I co? Kolejne wielkie nic. I tak się działo przez kilka lat osławionej koalicji AWS-UW. Rece opadają dosłownie. I to byli przywódcy "obozu patriotycznego". Manekiny, nie przywódcy.

Nielojalność Unii Wolności wobec AWS-owskiego koalicjanta w sprawach mediów była wyrażana zresztą z ogromną konsekwencją od początku do końca nieszczęsnej koalicji. Bezpośrednio po ogłoszeniu wyjścia ministrów UW z rządu J. Buzka Marek Kotlarski przypomniał na łamach "Tygodnika AWS" (z 4 czerwca 2000 r.): W ostatnich tygodniach przedstawiciele UW wraz z SLD i PSL zdecydowali o obsadzeniu rad nadzorczych w ośrodkach regionalnych bez uwzględnienia przedstawicieli AWS.

To nowe rozdanie sprawiło, że w radach tych znalazło się wielu "wybitnych" przedstawicieli dawnego PZPR-owskiego aparatu. Nikt z Akcji nie groził zerwaniem z tego powodu koalicji, choć postępowanie UW było niezgodne z zapisami aneksu do umowy koalicyjnej. Zwyciężył rozsadek i chęć osiągnięcia kompromisu, gdyż są sprawy istotne, których realizacja wymaga trwania tej koalicji.

Zdumiewała ostatnia część komentarza w AWS-owskim tygodniku, dowodząca, do jakiego stopnia w AWS-ie jednostronnie godzono się na wszelkie możliwe ustępstwa wobec UW, nawet na jaskrawe łamanie przez nią ustaleń umowy koalicyjnej z Unią. Było tylko dalej trwać w koalicji z nią. Było trwać!

Dziwne, że AWS nie spróbowała choć trochę skorzystać z doświadczeń Węgier, gdzie prawicowy premier Viktor Orbán z powodzeniem podejmował działania dla dużo bardziej uczciwego zaprezentowania różnych podmiotów sceny politycznej w publicznych mediach. Tyle że na Węgrzech prawica dużo wcześniej niż w Polsce potrafiła zrozumieć wyjątkowe znaczenie mediów, jako swego rodzaju faktycznej "pierwszej władzy" - m.in. już z pięć lat temu w Budapeszcie zorganizowano z powodzeniem wielką manifestację na rzecz obalenia czerwono-różowego monopolu w telewizji z udziałem ok. 30 tys. osób na liczących niewiele ponad 10 mln mieszkańców Węgier.

Prawica, która lubi SLD

Zdominowanie mediów przez SLD ułatwia postkomunistom stosowanie dość szczególnej gry - nagłośnienia w mediach wyłącznie tych ludzi z prawicy, którzy są najbardziej niekompetentni i niedoświadczeni, wręcz samokompromitujący się. Stąd wynikało wcale nieprzypadkowe częstsze prezentowanie w telewizji publicznej właśnie osób typu Goryszewskiego, Tomaszewskiego czy Niesiołowskiego (skądinąd jednego z niewielu osób z prawicy nagłośnianych w organie Michnika).

Najlepiej przecież walczy się, gdy dobiera się do dyskusji jak najsłabszego, najmniej kompetentnego przeciwnika, zamiast świetnie przygotowanego, twardego fajtera. Ta zasada jest bardzo dokładnie przestrzegana w całej ręcznie sterowanej przez SLD telewizji publicznej, od centralnej w Warszawie po różne telewizje terenowe. Jak zwierzał się w rozmowie z dziennikarzami "Gazety Wyborczej" (nr z 18-19 listopada 2000 r.) dziennikarz bydgoskiego programu informacyjnego TV 3 "Zbliżenia": Do tego dochodzą polecenia w stylu: "z prawicy rozmawiaj tylko z X, on fatalnie wypada przed kamerą".

Tego typu postawa SLD, preferująca pseudoprawicę w stylu Goryszewskiego czy Tomaszewskiego, uwidacznia się nie tylko w opanowanych przez postkomunistów mediach, ale i w konkretnych działaniach różnych SLD-owskich polityków, w ich rozgrywkach w parlamencie. Mówił o tym bez ogródek poseł AWS Mariusz Kamiński: Z moich obserwacji w parlamencie oraz z

wypowiedzi polityków SLD przy okazji dymisji Tomaszewskiego czy Goryszewskiego z funkcji szefa komisji finansów wynika, że prawica kierowana przez ludzi pokroju Tomaszewskiego czy Goryszewskiego jest dla postkomunistów prawica *(podkr.- J.R.N.). Ta grupa doskonale komponuje się z SLD-owskim establishmentem politycznym, w niczym mu nie zagraża. Wszystkie awantury, które wszczyna grupa Tomaszewskiego, służą destrukcji prawicy, służą komunistom (z wywiadu dla "Gazety Polskiej" z 25 kwietnia 2001 r.).

I po co im eksperci?

Fatalnym i jakże kosztownym w skutkach błędem ekipy AWS rządzącej od 1997 r. było chroniczne nie docenienie roli ekspertów z różnych dziedzin życia.

Jarosław Kaczyński tak mówił na ten temat w komentarzu dla "Życia" z 30 lipca 2001 r.: Na pewno Polsce trzeba było zmienić, ale trzeba było ją zmienić inaczej. Trzeba było odwołać się do znacznie głębszego zaplecza intelektualnego, które było do dyspozycji i które zostało odtracone. Bo w Akcji zwyciężył syndrom panowania także w sferze wiedzy. Bo było przekonanie, że my wiemy, jak to trzeba zrobić, a tylko złośliwość innych polityków powoduje, że nam nie wychodzi.

Byli przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego w 1990 r., członek Rady Krajowej AWS Mieczysław Gil mówił w wywiadzie dla "Rzeczpospolitej" z 26 marca 2001 r. o ludziach, którzy doszli do władzy w AWS: Moim zdaniem w obozie AWS nastąpiła zbyt generalna wymiana kadry. To poszło za daleko. Nowi ludzie nie mają doświadczenia, a wielu z nich po prostu nie chce się uczyć, korzystać z wiedzy politologicznej, z opinii doradców i ekspertów. Są przeswiadczeni o swojej nieomyślności. Byłem świadkiem podejmowania decyzji przez jednego z ważnych polityków. Ktoś mu referował sprawę, a on natychmiast dawał dyspozycje, jak która kwestia rozwiązać, ja nigdy nie miałbym odwagi decydować o bardzo ważnych sprawach bez szczególnego ich przeanalizowania.

AWS nie zrobił dosłownie nic dla zlikwidowania jednej z największych plag dzisiejszej Polski - ogromnie rozpanoszonej biurokracji. Przypomnę tu kilka wstrząsających danych na ten temat ze znakomitego artykułu "**Patologia reformowania**" ("Rzeczpospolita" z 4-5 stycznia 1997 r.), pióra przybyłego z emigracji w Kanadzie specjalisty od spraw zarządzania na skale międzynarodowa - profesora Witolda Kieżuna.

Autor podawał tam strasznie bulwersujące dane wskazujące, że **tylko w latach 1990-1997 liczba zatrudnionych w centralnej administracji wzrosła z 46 tys. do 110,2 tys.**

Tak bardzo wzrosła w czasie, gdy powszechnie oczekiwaliśmy, że znacząco zmaleje po tak długim panowaniu niebywałych rozrostów biurokracji w czasach komunistycznych. Prof. Kieżun przypomniał również, że w samej Kancelarii Prezydenta zatrudnienie wzrosło ze **193 etatów (1990 r.) do 466 (1995 r.)** - przed wojną Kancelaria Prezydenta RP zatrudniała tylko **40 osób**, choć obydwała się bez faksów, komputerów i fotokopiarek. Liczba zatrudnionych w Kancelarii Sejmu wzrosła z **640 etatów (w 1990 r.) do 1619 (w 1995 r.)**, podczas gdy w 1938 roku zatrudniano tam zaledwie 30 pracowników.

Urząd Rady Ministrów zwiększył zatrudnienie z **646 pracowników (w 1990 r.) do 1832 (w 1995 r.)** etc. etc.

Za to wszystko płaci Rzeczypospolita, płacimy my wszyscy.

Z ogromnym rozkwitem biurokracji wiąże się bardzo mocno również tak nasilająca się w Polsce plaga korupcji (pisze o tym szerzej w czwartym tomiku z tej serii "W obronie polskich interesów").

Na każdym niemal kroku było widoczne lekceważenie prawdziwie ważnych spraw przy równoczesnym skupianiu się na ciągłych targach i przepychankach o stanowiska w ministerstwach i przeróżnych agencjach. Jakże wymowne były pod tym względem niezwykle opóźnienia i zaniechania przy staraniach o utworzenie Instytutu Pamięi Narodowej i powołanie jego prezesa.

Zniesmaczony zachowaniami solidarnosciowych parlamentarzystów w tej sprawie Piotr Wierzbicki z gorczyca pisal na lamach "Gazety Polskiej" z 9 lutego 2000 r.: **Niekompetencja, partactwo, opieszalosc, powolnosc poslów AWS w sprawie powolania prezesa Instytutu Pamieci Narodowej bija wprost w oczy (...) poslowie AWS i UW ozywaja sie zawsze wtedy, gdy idzie o wpływy, lupy, etaty, a padaja w drzemke, gdy rzecz dotyczy przedsiwziec bardziej "abstrakcyjnych", takich nie kielbasianych, platonicznych (...).**

Do tych uwag Wierzbickiego Sejm dopisal w koncu najbardziej ponura puente. Po roku marudzen, niby to poszukiwan najlepszego kandydata pospiesznie wybrano najgorszego z mozliwych - prof. Leona Kieresa (moze zreszta to dlugie marudzenie, a polem wybranie najgorszego, z zaskoczenia, bylo czymś na dlugo przedtem zaplanowanym przez parlamentarne lobby Unii Wolnosc). Wybrano Kieresa, pracownika naukowego z zenujaco ubozutkim dorobkiem naukowym. W Bibliotece Narodowej mozna znalezc tylko jedna jedyna odrebna własna publikacje ksiazkowa L. Kieresa - wielce socjalistyczne w tresci "dzielko" na temat zalecen doskonalenia RWPG (!).

Na czele tego tak waznego dla Narodu instytutu powinien stac badz to historyk z wielkim dorobkiem i doswiadczeniem, badz to swietny znawca prawa karnego, z wielka wiedza na temat dziejów tropienia różnych zbrodni. A tu wybrano prezesem czlowieka bedacego specjalista od instylucji gospodarczych, a zwlaszcza takich jak RWPG. Jak poslowie AWS mogli poprzec tak niekompetentnego kandydata na tak wyjątkowo odpowiedzialna funkcje?

Dzięki takim skrajnym zaniechaniom sprawdzilo sie az nadto ostrzezenie wypowiedziane przez Wieslawa Walendziaka juz w pazdzierniku 1997 r. Przestrzegal wówczas, ze jesli nowy rzad nie doprowadzi do zdecydowanego przelomu i "wyrwania panstwa z rak postkomunistów", to przejecie wladzy bedzie polegac wylacznie na odziedziczeniu przez ministrów z AWS gabinetów, sekretarek, Lancii i telefonów komórkowych. Zamiast wladzy otrzymamy tylko jej atrybuty. I tak sie faktycznie stalo.

Trudno sie nie zgodzic z jakze bolesna diagnoza degrengolady czteroletnich rzadów ekipy Jerzego Buzka zaprezentowana na lamach tygodnika "Glos" 28 lipca 2001 r. pod tytulem "**Miales chamie zloty róg...**" przez Witolda Starnawskiego: (...) ekipa Krzaklewski-Buzek wykazala sie nadzwyczajna nieudolnoscia, co w efekcie doprowadzilo do samozniszczenia AWS i katastrofalnego spadku poparcia.

Najwieksza wina tej ekipy jest zmarnowanie spolecznego zaufania- po raz kolejny wykorzystano idealy "Solidarnosci" do sformulowania programu wyborczego i zdobycia wladzy, po czym- porzucono je. Podtrzymywano wyniszczajaca strategie gospodarcza Sachsa-Balcerowicza, zaakceptowano antynarodowa strategie w negocjacjach z Unia Europejska, co szczególnie dramatycznie zawazy na sytuacji polskiego rolnictwa, uniemozliwiono rozliczenie postkomunistów, pozostawiono stara ekipe w kierownictwie prokuratury i policji, nie podjeto walki o oczyszczenie mediów publicznych, a szczególnie telewizji, z postkomunistyczno-liberalnej nomenklatury. (...) Wszystkie te bledy, zaniedbania i szkodliwe dzialania wypromowaly SLD.

Partia lustracyjna

Na prawicy ciagle msci sie fakt nie przeprowadzenia w swoim czasie lustracji. Sprzyjalo to usadowieniu sie w różnych partiach prawicowych bujnie rozwiniętej agentury, która robila wszystko dla przeciwstawienia sie jednoczeniu sil prawicowych czy koncentrowaniu sie na sprawach zasadniczych zamiast gubienia w rozlicznych tematach zastępczych. Senator Adam Glapinski nie bez racji mówil w wywiadzie z marca 1999 r., iz: Dzięki agenturze latwo rozbija sie prawice, dzielac ja na drobne, grupy partyjne, klubowe, srodowiskowe. Jatrzy je miedzy soba, upubliczniajac kazdy najmniejszy konflikt. W ostatnich kilku latach niejednokrotnie z zaszokowaniem sluchalismy czy czytalismy wystapien różnych lże-pra wic owco w, ludzi podstawionych, z luboscia strzelajacych prawicy samobójcze bramki. By wymienic tu chocby oslawiona wypowiedz bylego ministra w rzadzie Buzka -Jacka Debskiego o rzekomych kwitach na Kwasniewskiego, których mu kazano szukac. Byly minister AWS bez chwili wahania wypowiedzial stwierdzenia, które mogly maksymalnie zaszkodzic rzadowi Buzka i AWS-owi. Na sytuacje wewnetrzna w AWS rzutowalo ciagle wiele zakulisowych dzialan czy raczej knowan. Na przyklad 6 wrzesnia 1999 r. na lamach "Rzeczpospolitej" ujawniono istnienie tajnej "partii lustracyjnej", czyli wpływowej grupy poslów, którzy gotowi sa na wszystko z obawy przed publicznym zdemaskowaniem w toku lustracji. Na wszystko, a wiec nawet na doprowadzenie do przesilenia

rzadowego, które uniemożliwiłyby dalsze działania Rzecznika Interesu Publicznego i dalsze lustracje.

Minister Jerzy Kropiwnicki zwierzał się redaktorowi "Rzeczpospolitej" - Marcinowi Dominikowi Zdortowi: ***Ci ludzie beda robili wszystko, aby doprowadzić do upadku rządu i rozwiązania Sejmu. Według polityka ZChN mówi się, że w parlamencie jest około 40 byłych agentów UB i SB, a największa ich grupa może być w AWS, gdyż właśnie antykomunistyczna opozycja była inwigilowana w czasach PRL.***

Wskazywano na dość łatwe możliwości rozpoznania cichych zwolenników partii lustracyjnej w Sejmie.

Wystarczy, by przypomnieć sobie, jak zachowywali się niektórzy posłowie AWS przy głosowaniach związanych z lustracją, jak stosowali obstrukcje przy tworzeniu budżetu dla Rzecznika Interesu Publicznego, czy jak głosowali przy nowelizacji ustawy lustracyjnej. A więc na każdym kroku, także pod koniec lat 90. dawał znać o sobie fatalny trup w szafie - skutek nie przeprowadzenia od razu, już w początku lat 90. skutecznej lustracji.

Szokujący był fakt, że znaleźli się tacy prominentni członkowie klubu poselskiego AWS, jak marszałek Sejmu Maciej Plazynski czy Aleksander Hali, którzy publicznie okazali swój brak poparcia dla tak ważnej ustawy jak ustawa dekomunizacyjna. Po jej upadku niewielkie znaczenie miał fakt, że Krzaklewski publicznie oświadczył, że posłowie AWS, którzy nie poparli ustawy zostaną ukarani za złamanie dyscypliny. Posłom groziło upomnienie - niezbyt wysoka kara za niedopuszczalne zachowanie (według "Życia" z 25 października 1999 r.). Była to drobnitka kara w odniesieniu do wyczynu grupy posłów, która zachowała się niedopuszczalnie w głosowaniu nad jedną ze spraw decydujących.

Warto przypomnieć, że w głosowaniu nad tak ważną ustawą o dekomunizacji, poza premierem Buzkiem nie uczestniczyli również liczni inni członkowie jego rządu; wicepremier Longin Komolowski, ministrowie Artur Balazs, Franciszka Cegielska, Janusz Palubicki, Janusz Steinhoff, wiceminister Romuald Szeremietiew oraz przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu Czesław Bielecki i 20 innych posłów (por. "Dekomunizacja mogła przejść", "Nasz Dziennik" z 26 października 1999 r.).

Jak Unia Wolności wykiwała AWS

Wiosną 2000 r. okazało się, że nawet zapewnienie przez AWS faktycznej dominacji Unii Wolności w rządzie Buzka i ciągłe ustępowanie wobec partii Balcerowicza nie zapewniły trwałości koalicji. Kiedy przywódcy UW zorientowali się, że niebezpiecznie pogłębia się gospodarczy kryzys Polski, spowodowany właśnie polityką Balcerowicza, wybrali drogę natychmiastowej ucieczki od odpowiedzialności. Wyjście UW z koalicji rządowej miało być środkiem do zwalenięcia całej winy na AWS na ponad rok przed wyborami.

Francuski korespondent Bernard Margueritte bez ogródek pisał w "Tygodniku Solidarność" z 15 września 2000 r., iż ***w momencie gdy nasiliły się negatywne skutki całokształtu gospodarczej i finansowej polityki Balcerowicza Byty minister finansów wycofał się elegancko z rządu.***

Przecież dochody z prywatyzacji, dzięki którym można było ukryć chwilowo beznadziejność polityki gospodarczej, już się kończą, Król jest nagi. Najlepsze firmy zostały sprzedane. Której korporacji międzynarodowej można jeszcze coś wartościowego zaproponować? (...) Trzeba jednak podziwiać odwagę (inni by powiedzieli tupet) byłego wicepremiera. Ledwo przestał rządzić, już krytykuje obecny rząd: "obecna inflacja jest wynikiem polityki tego rządu" - twierdzi.

Może jednak pan Balcerowicz wziął ludzi za głupszych niż są. Do tego prowadzi z reguły arogancja i pogarda dla obywateli. Ci wiedzą doskonale, że każda polityka gospodarcza daje wyniki dopiero na dłuższą metę i że wobec tego będziemy rejestrować przykre wyniki działania pana Balcerowicza przez wiele miesięcy i lat.

Szybko miało jednak okazać się, że próbując wykiwać AWS Unia wykiwała równocześnie sama siebie. Wychodząc z rządu popełniła krok samobójczy. Okazało się, że będąc typową partią władzy, opuszczając koalicję rządową i tracąc część stanowisk, straciła siłę przyciągania dla jakże wielu karierowiczów, dotąd z zapalem okupujących statek unijny. Wszystko to

przygotowało odpowiedni grunt do późniejszej gromadnej dezercji całej rzeszy unijnych specjalistów od przyspieszonych karier do Platformy Obywatelskiej.

IX. Długo bito na alarm

Fatalny spadek popularności AWS i jej kolosalne błędy, które przygotowały odpowiedni grunt dla ofensywy postkomunistów nie były zaskoczeniem dla uważnych obserwatorów sceny politycznej. Jakże wiele osób próbowało ostrzec AWS przed bezkrytycznym spadaniem po równi pochyłej/ apelowano o powrót do koncepcji przedwyborczych, nie zatracanie swej tożsamości.

Kosztowne "jakos to będzie"

Fatalny spadek popularności AWS nie wziął się z niczego - dobrze, aż nadto dobrze sobie na niego zasłużono.

Dosć przypomnieć jakże wymowna wypowiedź Wiesława Walendziaka, w swoim czasie jednego z najbliższych współpracowników premiera Buzka i Krzaklewskiego. 21 grudnia 1999 r., a więc po dwóch latach rządów AWS i UW Walendziak z prawdziwą goryczą krytykował na łamach "Życia" fatalny marazm, totalny brak decyzji i działania na szczytach rządu i na szczytach AWS, wręcz uciekanie od odpowiedzialności.

Pisał: Nie można ogłaszać deklaracji bez pokrycia (...). Jeżeli się mówi, że robi się sanacje służb publicznych, w tym również kas chorych, to się szybko trzeba zabierać za nowelizację ustaw ubezpieczeniowych i położyć kres razacemu i gorszacemu upartyjnieniu tych kas. Jeżeli mówi się o koncu republiki kołesiów, nie można nie reagować w sytuacjach jaskrawych, potwierdzających tezę, że ta republika istnieje. Tej odpowiedzialności z premiera, przewodniczącego AWS-u, przywódców poszczególnych ugrupowań nikt nie zdejmie. Z rządu odpowiedzialności nie zdejmie klub parlamentarny, z klubu rząd, z przewodniczącego klubu Komisja Etyki Poselskiej, a z premiera związek zawodowy. Ta polityka po dwóch latach doprowadziła do głębokiego kryzysu. Nie podzielam optymistycznego "jakos to będzie". Jeżeli obecna polityka nie zostanie zmieniona, będzie po prostu bardzo źle.

Przypomnijmy również ostrzeżenie wysuwane pod adresem Krzaklewskiego na łamach "Życia" z 25 sierpnia 1998 r. przez znanego prawnicowego publicystę Lukasz Perzyna: **Marian Krzaklewski od jakiegoś czasu nasładowuje Lecha Wałęsę.**

Widac jednak czyni to nieskutecznie, skoro Wałęsę komunisty się bali, a z Krzaklewskiego się śmieją.

Wystarczy sobie przypomnieć ironiczne pokrzykiwanie z ław posłów SLD, gdy Sejm zmienił nazwę rodzinnego województwa Krzaklewskiego z Małopolski Wschodniej na Podkarpacie: Marian, już nie masz województwa. (...) Zawarty pod osłoną nocy kompromis z SLD w sprawie 15 województw obciąża jego (Krzaklewskiego -J.R.N.) wizerunek publiczny (...) Zaskakujący efekt największego powybiorczego zaniechania AWS - pozostawienia telewizji publicznej w rękach komunistów odbija się już wkrótce rykoszetem na wizerunku lidera w kampanii prezydenckiej. Krzaklewski podcina galaz, na której siedzi. Wybory w 1997 r.

Akcja wygrała na fali zmeczenia czteroletnim zastojem pod rządami "koalicji kołesiów" z SLD i PSL.

Zwyciężyła dzięki czytelnemu antykomunistycznemu wizerunkowi i - o czym nie można zapominać- głosom tradycjonalistycznych wyborców, zwłaszcza czterem milionom słuchaczy Radia Maryja.

Nie służy podtrzymaniu tego poparcia kompromis wokół 16 województw, odebrany przez część wyborców jako ustępstwo wobec zażądań SLD i sprezentowanie postkomunistom dodatkowego "wyborczego" województwa z siedzibą w Kielcach. Trudno będzie zachować głosy słuchaczy Radia Maryja, gdy posłowie, promowani w kampanii wyborczej przez te rozgłoszenie albo z AWS odchodzą, (jak Halina Nowina-Konopczyńska), albo są z niej wyrzucani (jak Jan Lopuśzanski) za odmowę poparcia któregoś z wojewódzkich wariantów. Można nie lubić ojca Rydzyka i jego protegowanych, ale nie da się reprezentowanej przez

niego formacji odmówić znaczącego miejsca na mapie zjednoczonej prawicy.

Sam należałem do osób, które w grupie naukowców, polityków i publicystów (m.in. prof. prof. Bender, Dybczyński, Kurowski, Wisniewski, Wysocki, posłanka Sobecka) ostrzegali w tekście "**Zapomnieliście o przesłaniu**" na łamach "Naszej Polski" z 4 sierpnia 1999 r. Piszaliśmy tam już wtedy o fatalnych skutkach zastępowania dialogu społecznego przez arogancję władzy, o tym, iż rząd Buzka, koncentrując się na pakiecie czterech reform, naprowadzanych nieudolnie i bez odpowiedniego przygotowania merytorycznego zapomniał o społeczeństwie, że przeprowadzając wspomniane reformy, prowadził politykę zrzucania ich kosztów na społeczeństwo, że polityka społeczna i gospodarcza, "**uderzająca w najszersze kregi społeczeństwa polskiego, pozbawiająca go nadziei, grozi wybuchem niekontrolowanego buntu społecznego**".

Ostrzegaliśmy, że polityka gospodarcza części koalicji, skupionej w Unii Wolności, ukierunkowana jest wręcz na to, by potencjał gospodarczy Polski zniszczyć. Przykładem wyprzedz banków obcemu kapitałowi, wyprzedz ziemi, upadek przemysłu zbrojeniowego z takim, trudem zbudowanego przez naszych wielkich rodaków - i w tym E. Kwiatkowskiego - w tak trudnym okresie naszej historii czy niszczenie polskiej nauki, co likwiduje gospodarczą i militarną suwerenność Państwa.

Z polityka likwidacji suwerenności gospodarczej wiąże się stosowana przez Pana rząd polityka uległości wobec organów Unii Europejskiej czy Banku Światowego, jak również wobec zadań skrajnych środowisk żydowskich, podważających suwerenność Polski, czego przykładem jest brak odpowiedniej reakcji czynników państwowych na akty antypolonizmu wypływające z tych kół.

Przy tej ostatniej sprawie - zagrożeniu antypolonizmu trzeba tu przypomnieć z prawdziwą goryczą że do wyjątków należeli posłowie czy senatorowie alarmujący w tej sprawie (tak donosił np. Antoni Macierewicz w związku z antypolskimi kalumniami w sprawie Jedwabnego, z wysuniętym przez niego pozwem przeciwko A. Kwasniewskiemu).

Tym bardziej warto więc zaakcentować rolę tych postaci, dziś kandydujących do Senatu, które konsekwentnie protestowały przeciwko polskiej bierności wobec antypolonizmu jak: profesor Ryszard Bender w Lublinie, profesorowie Rafał Broda i Stanisław Borkacki w Krakowie red. Stanisław Michalkiewicz i prof. Rajmund Dybczyński w Warszawie czy kandydujący do Sejmu z Rzeszowa redaktor Zbigniew Lipiński.

Ileż przejmujących ostrzeżeń wysuwano - na próżno - w krakowskim Klubie "Myśli dla Polski" kierowanego przez prof. Rafała Brodę dziś kandydującego do Senatu z Ligi Rodzin Polskich. By przypomnieć choćby jakże gruntowny manifest programowy tego klubu "Dokąd zmieszasz Polsko?" ("Nasz Dziennik" z 20-21 listopada 1999 r.) głoszący m.in. już wtedy wbrew próbom balcerowiczowskim panegirytom w mediach: **W jaskrawym kontrastie do ciaglej i glosnej propagandy o stalym i szybkim rozwoju Polski, opartej na złudnych wskaźnikach i na opiniach mało reprezentatywnych dla polskich interesów ośrodków zewnętrznych, gospodarka kraju znajduje się w głębokim regresie, a stan finansów jest katastrofalny. (...) Rysująca się perspektywa jest jeszcze groźniejsza - wzrasta bezrobocie, rośnie deficyt handlowy, nie zmniejsza się zadłużenie Polski, natomiast gwałtownie, zmniejsza się wartość majątku narodowego, którego znaczna część sprzedano, często za bezcen, lub wręcz przekazano w obce ręce. Całe branże przemysłu i gospodarki wymykają się z polskich rąk. Zyski wyprowadzane są na zewnątrz. Państwo polskie traci suwerenność finansową, pozbawiając naród własnego systemu banków.**

Warto tu przypomnieć również jakże bezlitosną diagnozę przyczyn słabości AWS, wyrażoną w dyskusji na łamach świetnie redagowanych prawniczych "Arcanów" krakowskich (nr 3/4 z 2000 r.) przez prof. Leszka Dziegiela.

Pisał on wprost, bez ogródek: **Prawnicowa część klasy politycznej najskuteczniej przyczyniła się do odrodzenia popularności postkomunistów (...). Już wkrótce górze w tym środowisku zaczął braci ciasny, egoistyczny działacz wyrosły z ruchu związkowego, nastawiony na dorazne korzyści osobiste i branżowe. Przeciętny obywatel nie zajmujący się zawodowo polityką, z zazenowaniem, rozczarowaniem i rosnącą irytacją oglądał tym razem prawnicowe karuzele stanowiące. W jej wyniku na najwyższe urzędy dostawali się ludzie zaskakująco mało skuteczni i szybko dezawuowani przez tych, którzy ich przed chwilą wynieśli na szczyt kariery. Wydawało się, że zasada stała się obsadzanie odpowiednich funkcji osobnikami najbardziej bezbarwnymi, pozbawionymi nie tylko profesjonalizmu czy politycznego temperamentu, ale nawet umiejętności kontaktu z szeroką publicznością. Ewidentny brak kwalifikacji do służby publicznej, połączony z zawstydzającą nieraz pazernością na osobiste korzyści, i egoistyczna, kombatancka pycha stały się cechami aż nazbyt licznych kregów polskiej prawicy. Już tylko zaskakująca obojętność wobec zjawiska**

bezrobocia panujacego szczególnie wśród wykształczonej młodzieży nabiera cech zgola samobójczych dla szykujących się do walki wyborczej polityków (...). Kleska wyborcza, która zbliża się nieublaganie, być może będzie rodzajem oczyszczenia szeregow z łowców lukratywnych posad rządowych, diet i wszelkiego typu prezesur.

Długo, długo bito na alarm. I dlatego nie ma usprawiedliwienia dla szefa AWS Mariana Krzaklewskiego i premiera Buzka, którzy nie zareagowali na żadne sygnały, nawet najbardziej alarmujące. Którzy nie zdobyli się na najmniejsze nawet przyznanie się do popełnionych błędów.

Zaprzepaszczone lekcje wyborów prezydenckich

Krzaklewskiego, Buzka i całą formację AWS fatalnie obciąża nie wyciągnięcie żadnych wniosków z fatalnie przegranych wyborów prezydenckich w październiku 2000 r. A przecież natychmiast po wyborach w jakże licznych tekstach ostrzegano, że nie wyciągnięcie odpowiednich wniosków z ich wyników może doprowadzić do katastrofalnych rezultatów dla chrześcijańsko-patriotycznych, i to na bardzo długo. Komentator "Zycia" Paweł Fafara (obecnie redaktor naczelny "Zycia") ostrzegł w tekście z 10 października 2000 r., że wyborczy dramat postaci szefa AWS łatwo może przerodzić się w dramat formacji politycznej, dramat prawicy i jej wyborców - 30-50 proc. społeczeństwa, którego reprezentacja na wiele lat może zostać zepchnięta do politycznego skansenu.

Komentując te ostrzeżenia Fafary na łamach "Niedzieli" z 22 października 2000 r. pisałem, że: Najlepsza droga do tak, fatalnych skutków byłoby nie wyciągnięcie gruntownych wniosków z porażki wyborczej i demonstrowanie samozadowolenia, tłumaczenie klęski - jak to się robi - tym, że niestety, takie były koszty niezbędnych reform. Myślę wręcz przeciwnie - takie były koszty nie reform, lecz złego, kompromitującego stylu rządzenia, postawienia na ludzi niekompetentnych, strasznego obciążenia kosztami sojuszu z Unią Wolności, zwłaszcza z tak powszechnie krytykowanym dziś Balcerowiczem. A także fatalnej dominacji mentalności związkowej w rozwiązywaniu spraw państwowych.

Myśląc o "dominacji mentalności związkowej" miałem na myśli między innymi opisany przez Tomasza Gruszeckiego w "Zyciu" fakt, że kolejna korporacja zawodowa - energetycy z południowej grupy elektrowni wywalczyła sobie odprawę w razie utraty pracy - na sumę od 90 do 150 tys. zł. Co najważniejsze zaś wymuszanie tak wysokich odpraw dla "najbardziej bojowych" odłamów klasy robotniczej następowało i następuje w warunkach, gdy naprawdę nie ma na to środków. Gdy jedna trzecia ludności Polski wegetuje poniżej poziomu minimum socjalnego, gdy w strasznej mizerii żyją różne grupy budżetówki: oświaty, nauki i służby zdrowia, bo nie mają mocnego przebijania, bo nie będa maszerować w kilofami na Rade Ministrów. Gdy postępuje pauperyzacja i rozgoryczenie mieszkańców wsi i małych miasteczek.

Bourboni w AWS

Ci liderzy AWS, którzy dalej zachowywali całkowite samozadowolenie mimo wyborczej klęski Krzaklewskiego, wmawiali sobie i innym, że klęska nie była największa, bo przecież Krzaklewski i tak swym wynikiem 15,57% głosów osiągnął o wiele więcej niż dawały mu pierwotnie zenująco nisko oceniające jego szanse sondaze. Usprawiedliwiacze polityki Krzaklewskiego nie chcieli zauważyć tej podstawowej sprawy, że na szefa AWS zagłosowała w wyborach także wielka część wyborców już ogromnie mocno zniechęconą do całego bilansu rządów AWS. Mieli oni szczerze dość polityki AWS, a przede wszystkim ciągłego realizowania przez nią programu UW, a jednak zagłosowali na Krzaklewskiego.

Zagłosowali "strategicznie" na Krzaklewskiego, bo bali się, że w przeciwnym razie zmarnują głosy i do drugiej tury wejdzie tak nie lubiany przez nich kandydat bogaczy i rzecznik ograniczenia suwerenności Polski - Olechowski. To nie było dla nich głosowanie na Krzaklewskiego, lecz przeciw Olechowskiemu. Mam wielu znajomych, którzy tak właśnie głosowali za Krzaklewskim, z zacisniętymi zębami, wściekli na dotychczasowe skrajne błędy AWS, ale chcąc zapobiec najgorszemu - drugiej turze z Kwasniewskim i Olechowskim. I to byli bardzo świadomi zagrożeni wyborcy.

Niestety, nie stanowili oni większości. Bo w czasie wyborów zaznaczyło się ogromne zamazanie frontów, o którym pisze Margueritte. Najlepszym tego dowodem jest choćby to, jak nonsensownie głosowała zawiedziona wielka część ROP-u - narodowego, zbuntowanego społecznie wobec dotychczasowych elit. Przecież zaledwie jedna czwarta ROP-u posłuchała spóźnionych, pięć minut przed dwudziestą, apeli swego przywódcy Jana Olszewskiego i zagłosowała na Krzaklewskiego (dokładnie 23%), Na Kwasniewskiego głosowało aż 17% dotychczasowego elektoratu ROP-u. Rzecz najdziwniejsza - aż 25% elektoratu ROP-u, tak wrażliwego socjalnie, głosowało na kandydata bogaczy i biznesu - Olechowskiego. Przecież to prawdziwa schizofrenia.

Trudno popierać niby to prawicowych polityków, którzy zachowując się jak Bourboni dosłownie niczego nie nauczyli się z kolejnych danych im lekcji. Z kretesem oblali wszystkie kolejne egzaminy, od negocjacji z UW po wybory prezydenckie. Po obecnych wyborach parlamentarnych zaś nie będą już mogli liczyć na żadną "poprawkę" czy "urlop dziekański". Można tylko ubolewać, że nawet teraz listy AWS faktycznie uwiarygodniają Buzka i Krzaklewskiego, a więc ludzi, którzy jako główni winni lawinowej utraty popularności przez AWS, dawno powinni byli już się wycofać z pierwszej linii i nałożyć przysłowiowe stroje pokutne. Nie zrobili tego, tym samym w decydujący sposób przesadzając o utracie większych szans wyborczych przez ich ugrupowanie. Sami w ten sposób skazali się na żalostny niebyt polityczny. Jako historyk szczerze życzę im, by przynajmniej spisali pamiętniki i spróbowali choć trochę wytłumaczyć się ze swych tak kosztownych i zarazem tak absurdalnych działań.

Zakończenie

W świetle przedstawionych tu faktów jednoznacznie sprzeciwiam się krytykowaniu całego Narodu za żalostny stan rzeczy w Polsce. Naród głosował dobrze 4 czerwca 1989 r., obalając komunistów. Zamiast radykalnych zmian i prawdziwego przełomu dostał jednak tylko... grubokreskowy, "nasz rząd" Balcerowicza. Naród głosował w grudniu 1990 r. w swej większości przeciwko rządowi Mazowieckiego i Balcerowicza. Zamiast gruntownego przełomu dostał od Walesy jednak tylko czwartorzędny polityk J.K. Bielecki, wydobyty skądś tam w Gdańsku i powtórkę z tak powszechnie już wówczas znieawidzonego Balcerowicza. Naród głosował w 1997 r. w swej większości nie tylko przeciwko postkomunistycznemu rządowi Cimoszewicza, ale i przeciwko programowi kierującego UW Balcerowicza (przypomnijmy, że Unia straciła w wyborach 1997 r. kilkaset tysięcy głosów w porównaniu do wyborów z 1993 r.). Dzięki żalostnym negocjatorom z AWS otrzymano jednak znowu kolejną radosną "powtórkę z balcerowiczowskiej rozgrywki" i wynikiem stało się skompromitowanie rządu Buzka. Czas najwyższy powiedzieć, że winny jest nie cały Naród, lecz żalostne niczego nie uczące się prawicowe pseudoelity, zdominowane przez "warszawkę" i blokujące awans najzdolniejszych ludzi z tzw. terenu.

Są jeszcze tacy, którzy próbują na siłę wybielać czteroletni rząd Buzka, i nawet dziś traktować wszelką ich krytykę jako dawanie argumentów dla SLD.

W początkach września dostałem właśnie tej treści pełen rozjatrzenia i wyzwisk list od jakiegoś anonimusa.

Tym zjadłym obroncom Buzka i Krzaklewskiego, którzy jak Bourboni dosłownie niczego się nie nauczyli zadedykuje do sztambucha jakże celne uwagi naczelnego redaktora "Nowego Państwa" Anatola Arciucha: Stare powiedzenie mówi, że jeśli Pan Bóg chce kogoś pokarać, najpierw odbiera mu rozum. AWS niewątpliwie ciężko nagrzeszyła przez te cztery lata, toteż nic dziwnego, że spotkała ją zasłużona kara. Ale, prawdę mówiąc rozum odebrało jej znacznie wcześniej. A dokładnie w momencie, kiedy Marian Krzaklewski wpadł na genialny pomysł postawienia na czele rządu figuranta i kierowania nim z tylnego siedzenia.

Za kierownicą zasiadł niedoświadczony kierowca i tak z najwyższym trudem radzący sobie w wielkomięskim ruchu, z którym nigdy dotąd nie miał do czynienia a już zupełnie stracił głowę, kiedy z tyłu zaczęły padać coraz to nowe, nierzadko sprzeczne rady i polecenia. (...)

Jeszcze bardziej gorzkim grymasem historii jest to, że postępowanie większości polityków AWS, a może nawet w większym stopniu styl rozmawiania ze społeczeństwem, absolutne samozadowolenie i zwalanie wszystkiego, co złe, na trudności obiektywne i złą wolę oponentów przypomina jako żywo styl partyjnych aparatczyków z lat 70. i 80., kiedy to już trzeba było rozmawiać ze społeczeństwem, ale ów dialog - a raczej monolog - ze strony władzy przybierał kształt takiej właśnie dretwej mowy, składającej się z frazesów, samochwalstwa i pustych obietnic. Polityków nie można stawiać przed Trybunałem Stanu za samą tylko działalność polityczną. Co najwyżej osadzi ich trybunał historii. Warto jednak już dziś przedstawić jeden punkt

oskarżenia. Najcieższy. To właśnie w dużej mierze na skutek czterech lat rządów AWS i premiera Buzka grozi nam rzecz - zdawałoby się - jeszcze nie tak dawno nie do pomyslenia.

Polacy mogą dobrowolnie dać sobie narzucić niepodzielne rządy partii, która być może nie jest w linii prostej spadkobierczynią PZPR, ale na pewno prawowita dziedziczka schyłkowego PRL. Przez te cztery lata roztrwoniono ogromny kapitał społeczny i ostatecznie, a przynajmniej na długie lata, przekonano Polaków, że polityka to gra prywatnych, nierzadko podejrzanych interesów i że wszyscy rządcy są sobie wari. To dlatego obecna większość i obecny rząd odchodzą w niesławie. Im prędzej, tym lepiej, bo każdy dzień tych rządów pogłębia kompromitację polskiej prawicy, z którą zresztą AWS jest utożsamiana w dużej części zupełnie bezzasadnie. I to jeszcze jedna uzurpacja tego ugrupowania.

AWS-owi przepowiadam dość ponury los w przyszłości. Coś w rodzaju statusu Węgierskiego Forum Demokratycznego, które swą miąższącą przewagę jako partii rządzącej po wyborach z maja 1990 r. tak roztrwonilo przez idiotyczną politykę, że dziś drepcze w okolicach 3% głosów. Tyle, że równocześnie ciągle marze, że na miejsce tej upadłej AWS-owskiej prawicy, jakże często rozmywanej od wewnątrz przez różnych lewo-prawicowców powstanie dynamiczna nowa prawica narodowa, która wyciągnie wnioski z gorzkich lekcji katastrof 1993, 2000 i 2001 roku. Tak jak to zrobiła nowoczesna prawicowa partia rządząca dziś na Węgrzech Víctora Orbana, która po czterech latach rządów cieszy się dalej największą popularnością/około 40% w sondażach. Bo była w odróżnieniu od partii Buzka i Krzaklewskiego partią stanowczo broniącą interesów narodowych i konsekwentnie zmierzającą do wytyczonych celów, a nie grzebną w zgnilych kompromisach.

Jeśli SLD dojdzie do władzy, to pomimo dzisiejszych szumnych obietnic w sprawach gospodarczych i społecznych, przypuszczalnie równie mało zrobi, jak prezydent Kwasniewski dla realizacji swej wielkopomnej obietnicy zapewnienia budowy mieszkań dla wszystkich młodych Polaków. Trudno będzie oczekiwać na jakikolwiek większy krok do przodu w gospodarce, w sytuacji gdy grozi dojście do władzy "czerwonych liberalów" w stylu M. Borowieckiego czy W. Kaczmarka. Typowany na głównego kreatora przyszłego SLD-owskiej polityki gospodarczej pan Belka już teraz "obećuje" kontynuowanie obecnej (czytaj: balcerowiczowskiej) polityki gospodarczej. A wszystko to w sytuacji, gdy w rezultacie dziesięciolecia fatalnie straconego w gospodarce, m.in. w niemałej mierze dzięki rządowi lewicowej koalicji z lat 1993-1997 wyprzedano tak wiele najlepszych polskich przedsiębiorstw, banków etc. Gdy od roku 2001 placimy dużo większy niż dotąd haracz odsetek od zadłużenia.

Gdy dzięki "wspaniałomyślności" wobec Żydów obecnego postkomunistycznego prezydenta RP, jego kolejnym przeproszaniem Żydów i publicznym obietnicom odpowiednich rekompensat możemy oczekiwać narzucenia nam szantazami ogromnego haraczku na sumę 60-65 miliardów dolarów. Takie mniej więcej szacunki roszczeń żydowskich do odszkodowań za mienie w Polsce podawał słynny żydowski profesor-politolog z USA Norman G. Finkelstein, przestrzegając Polaków przed ustępstwami wobec nacisków "szantazystów żydowskich". Ale przy takim prezydencie RP...

Podkreślam, nic nie wierzę w obiecywaną dziś przez SLD naprawę polskiej gospodarki. Obawiam się natomiast, że ewentualne rządy SLD, w przypadku posiadania swego prezydenta, swego rządu, swojej zdecydowanej większości w parlamencie, mogą skończyć się jakże fatalnym dla polskiej demokracji zmonopolizowaniem władzy. Co więcej, może dojść do tego, że nowe postkomunistyczne rządy zrobią wszystko, by nie dopuścić do kolejnego oddania władzy społeczeństwu, nawet gdy zdecydowana większość Narodu już będzie miała dość ich rządów. Bardzo obawiam się tego, że mając odpowiednią, większość w parlamencie, i tak wielkie wpływy w sądach, prokuraturach i policji, zrobią wszystko dla zablokowania wszelkich demokratycznych zmian w Polsce. Będąc na dodatek wspierani przez wielkiego przyjaciela postkomunistów w Polsce - bezpieczniaka, KGB-owca Putina w Rosji i ich wielkich przyjaciół - socjalistów w różnych rządach zachodnich w brukselskiej Komisji.

To wszystko sprawia, że tak wielka jest stawka aktualnych wyborów, że jest ona dosłownie walką o wszystko, abysmy nie stali się zupełnie bezbronni na przyszłość!

Obecna sytuacja przesycona jest wielą jakże niepokojącymi objawami. Najgroźniejszym chyba z nich jest bardzo silna apatia wśród dużej części środowisk chrześcijańsko-patriotycznych, pełnych poczucia skrajnego rozczarowania po czterech latach straconych nadziei. Budzi to tym większe obawy, że wiele osób w ogóle nie pójdzie do głosowania, w ten sposób tym bardziej ułatwiając zwycięstwo postkomunistów z SLD, mających wysoce zdyscyplinowany elektorat. W końcu bronią utrzymania jakże wielu wpływów posiadanych nadal w przeróżnych sferach życia dzięki realizowanej od 1989 roku polityce "grubej kreski". Chciałbym tu odwołać się do ważnego przedwyborczego tekstu znanego katolickiego publicysty Bohdana Cywińskiego, opublikowanego na łamach "Rzeczpospolitej" z 7 września 2001 r. Cywiński akcentował w nim: (...) na wybory iść trzeba.

Zostając w domu, w praktyce głosujesz na obóz SLD, dzięki twojej nieobecności, zmieniającej liczbę głosujących, ma ona pół głosu więcej. Idź więc i - nie ufając żadnej partii - głosuj na człowieka, o którym wiesz cokolwiek pozytywnego. Jeśli się w ocenie pomylisz, to i tak ten błąd będzie mniejszy niż błąd pozostania w domu.

W kolejnym, czwartym tomiku tej serii "W obronie polskich interesów" pisze szerzej o tym, jakie koncepcje programowe i jakich ludzi powinni popierać wszyscy myślicy i czujący po polsku, a jakim przeciwstawiać się w imię ratowania Polski w tym wyborze. Chciałbym jednak wystąpić już tutaj z jedną uwagą praktyczną, zmierzającą do przeciwstawienia się stosowanej tylekroć w przyszłości tendencji do narzucania w różnych okręgach "spadochroniarzy" z innych miast, a zwłaszcza z warszawskiej "elitki". Apeluje generalnie do mieszkańców różnych miejscowości, by głosowali przede wszystkim na "swoich" ludzi z ich terenów, ludzi, których najlepiej znają, którzy się sprawdzili w ich oczach. Podstawowa sprawa, od której najwięcej zależy w przyszłości, jest to, czy wreszcie będą należycie docenieni prawdziwie zdolni i kompetentni ludzie z terenu, od Białegostoku i białej Podlaskiej po Elbląg i Szczecin, czy też będą nadal nadawać ton pseudoliderzy z prawicy ponoszący odpowiedzialność za Lak wiele klęsk. Czy wreszcie postawi się w dużo większym stopniu na rzetelnych fachowców z naszej opcji?

Nota biograficzna

Jerzy Robert Nowak, historyk (profesor wyższej uczelni), publicysta, autor ponad 20 książek i ponad siedmiuset artykułów. Od lat wyspecjalizował się w śmiałym podejmowaniu tematów najbardziej drażliwych. Ma ogromne zasługi w przelamywaniu tabu wokół problematyki żydowskiej. Szczególnie duże zainteresowanie wzbudziły dwa jego cykle publicystyczne o stosunkach polsko-żydowskich: "Przemilczane świadectwa" (47 artykułów na łamach "Słowa -dziennika katolickiego") i "Za co Żydzi powinni przeprosić Polaków" (na łamach tygodnika "Nasza Polska").

Jerzy Robert Nowak opublikował m.in. książki o Powstaniu Węgierskim, "Węgry bliskie i nieznane", Historie literatury węgierskiej XX wieku, "Myśli o Polsce i Polakach", dwutomowe "Zagrożenia dla Polski i polskości", które stały się prawdziwym bestsellerem 1998 roku, pasjonujący "Czarny Leksykon (demaskatorski obraz ludzi z "elit" - bestseller roku 1999), "Kościół a Rewolucja Francuska" ukazująca rewolucję w prawdziwym świetle oraz "Walke 7. Kosciół wczoraj i dziś" niezwykle interesująca retrospekcja dziejów walki Kościoła o przetrwanie i możliwość działania w Polsce i na świecie.

W roku 2000 ukazały się "Spory o historię i współczesność" -ponad 650 stronicowa książka prezentująca skromną część dorobku publicystycznego Jerzego Roberta Nowaka, powstałego na przestrzeni ostatnich 30 lat pracy, a także "Czarna legenda dziejów Polski" -napisana z werwą odpowiedź na coraz częstsze próby manipulowania polską historią. Rok wcześniej ukazały się "Przemilczane zbrodnie" - niezwykle ważna publikacja, przerywająca długotrwałe milczenie o zbrodniach popełnionych przez skomunizowanych Żydów na ich polskich sąsiadach. Przygotowuje do druku monumentalną pracę o stosunkach polsko-żydowskich w minionym stuleciu.

W roku 2001 prawdziwym bestsellerem stała się jego książka "100 kłamstw J.T. Grossa",

[Zamknij to okno](#)
